№ 25 Warszawa, dnia 6 (18) Czerwca roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Literatura zagraniczna.

Słowo o literaturze nowogreckiej,

przez

SEWERYNĘ DUCHIŃSKĄ.

Głośna w świecie paryzkim publicystka i autorka pani Edmond Adam, pisząca pod pseudonimem Julietty Lamber, śledzi gorliwie rozwój poezyi nowogreckiej. Przedstawiono niedawno w Paryżu piękny jej dramat Galateę, zastosowany do sceny francuzkiej, z greckiego poety Bazylidesa, z którego czytaliśmy w Tygodniku bardzo dokładne sprawozdanie; zostawiamy go zatem na boku, a wspomnimy dziś rozprawę pani Lamber o literaturze ateńskiej, pełną ciekawych spostrzeżeń.

Literatura ta, dzięki konkursom akademickim w Atenach, rozwija się bujnie i szybko. Możnaby ją porównać do młodego dębu, zadziwiającego raczej obfitością gałęzi, aniżeli siłą ich i ogromem. W pośród ateńskich poetów nie było dotąd pierwszorzędnego geniuszu, za to liczba ich bardzo wielka, a talent niektórych sympatyczny, zjednał im popularność w narodzie.

Dwa prądy całkiem sprzeczne powiewają w literaturze dzisiejszych Helenów; każdy z tych obozów liczy zawołanych szermierzy. Walka też trwa nierozstrzygnięta. Akademia wierna starożytnym tradycyom, czyni wszelkie usiłowania, aby język dzisiejszy zbliżyć o ile można do języka słynnych klasyków starożytnych: konkursowe poemata mają głównie na celu ustalić ten zwrot upragniony przez erudytów. Poeci tymczasem a przynajmniej najzdolniejsi pomiędzy nimi, przekładają nad zdroje helikońskie krynice żywej wody, tryskające z podań ludowych. Ztąd też widzimy, że walka klasyków z romantykami rozstrzygnięta w Europie w czasach kiedy Grecya zdobywała niepodległość, że walka ta powtarzamy, trwa dotąd nieskończona w Atenach. Wszystko jednak wróży blizki jej koniec, a zarazem przewagę ludowego żywiołu. Najznakomitszy przedstawiciel poezyi ateńskiej Paraschos, podjął dzielnie ludowy sztandar, a wieńce jakie zbiera, obiecują mu rychły tryumf.

Co do nas, szczerze przyklaskujemy temu kierunkrwi. Chcieć bowiem, aby Grecy dzisiejsi powtórzyli rolę starożytnych Helenów, byłoby to według nas największą niedorzecznością. Żadna siła nie powstrzyma duchowego prądu, pędzącego naprzód myśl ludzką, torującego jej nowe drogi. Gdyby nawet Grecy dzisiejsi byli potomkami sławnych praojców opiewanych przez Homera, i w takim razie powrót do przeszłości byłby niepodobieństwem. Tyle tysięcy ubiegłych lat przeistoczyć musiało psychiczny ustrój jednostek; a cóż dopiero gdy weźmiemy na uwagę etnograficzne wpływy, gdy przypomnimy sobie owe chmary wędrownych ludów, które od wschodu naszły na Europę a z których znaczna część rozsiadła się na zgliszczach Salaminy i Maratonu! Nie o to dziś idzie aby odnowić starożytną Grecyą, raczej o to aby wykrzesać żywotną iskrę z nowej. Więcej znaczy krok jeden postawiony naprzód przez masę ludu, aniżeli wyskok kilku osobistości, chociażby te olbrzymią pracą zdołały nawet sprostać starożytnym poetom.

Szybki rozwój nowogreckiej literatury godzien zastanowienia. W świeżo wydanej w Atenach *autologii* znajdujemy utwory czterdziestu ośmiu poetów żyjących obecnie. Drugi zapowiedziany tom, obejmie równą zapewne liczbę imion. Udeza uwagę niesłychana twórczość pisarzy. Jeden z nich, Sophokles Carydis, rzuca bezustannie zbiory poezyi lirycznych, dramatów, komedyi, satyr, i t. p. Inny poeta, Synadinos, wydał świeżo jedenasty tom poetycznych utworów.

Wlachos ogłosił drukiem dzieła swoje w trzydziestu trzech tomach; z tych połowę zapełniają poezye, bądź oryginalne, bądź tłomaczone. Do ostatnich należą *Medytacye* Lamartina i *Nathan* Lessinga, świeżo uwieńczony przez akademią.

Obfitość ta pochodzi z wielkiej łatwości w składaniu rymów, do czego przyczynia się sam język. Dziewczęta greckie tak przy pracy jak przy zabawie, improwizują mnóstwo przygodnych piosnek. Niewiasty płacząc nad ciałem zwarłego ojca, męża lub brata, zawodzą żałośne *mirologi*.

Mimo wielkich przemian tak dziejowych, jak politycznych, atmosfera Grecyi pozostała zawsze poetyczną.

Do rozwoju poezyi, jak i innych działów literatury w Atenach, przyczynia się wielce uczucie patryotyczne, przenikające wszystkie społeczne warstwy. Przytaczamy na to wymowny dowód. Razu jednego przyjaciel odwiedził uczonego profesora uniwersytetu. Podczas gdy obaj zabawiali się rozmową, młody, nieznany autor, przynosi listę prenumeracyjną na jakieś nowe dzieło. Profesor nie spojrzawszy nawet na tytuł, podpisuje sam i podaje pióro gościowi.

— O cóż to idzie? pyta przyjaciel.

— O nową książkę, odrzecze profesor.

— Jaką książkę?

— Podpisz, nie pytaj o nic więcej.

Autor odszedł, rad z dwóch otrzymanych podpisów.

— Jeśli książka nie będzie nic warta, odpowiesz mi za to, rzecze przyjaciel.

— Mniejsza o to, odparł profesor, czyń jak ja, podpisuj zawsze, nie pytając o wartość dzieła. Nadrukują mnóstwo lichych ramot, ale kto wie, może pomiędzy te plewy wsunie się jakie ziarno, któreby

inaczej nie wyszło z ziemi, nie ujrzało Bożego słonka!

Przy tak silnem i tak ogólnem poparciu, możemy śmiało wróżyć piękną przyszłość literaturze nowogreckiej.

Przytaczamy na próbę w przekładzie mały poemacik Aleksandra Sutzo pod tytułem „Stary żołnierz”.

Słońce zagasło: drożyną przez pole,
Wlecze się żołnierz, styrany kaleka,
Prowadzi starca młodziuchne pachole,
Miasto przed nimi piętrzy się z daleka.

—„Stój!... rzecze dziadek, nie przynaglaj kroku,
Ty bierzysz lekko jak jelonek szparki,
A dla mnie w wiecznym tonie świat pomroku;
W długim tułactwie pomdlały mi barki!
Tam, w Missolunghi światło mi zagasło,
Działowa kula urwała mi nogę;
Ah! słyszę jeszcze Balzarisa hasło,
Zaczekaj dziecię, tchu złapać nie mogę!
Gdzieżeśmy zaszli, noc-że to już bliska?”

—„Tak, miły ojcze, w koło cień ponury,
Promyk miesięczny z daleka odbłyska
Srebrzystym smugiem o Nauplic mury.”

—„Nauplic?

—„Tak ojcze, staniem tam niedługo.
Płaczesz? Po licu łzy płyną ci strugą?”

—„Płaczę, bom wspomniał, jak onego czasu,
Ah! to się słowem wypowiedzieć nie da!
Jam z szablą w rękach biegł tam do zapasu,
Pierwszym poskoczył na wał Palameda,
Jak wąż z opoki-m piął się na opokę,
Dziś nędzny starzec ledwie ciało wlokę!
Już mi nie ujrzeć tej zorzy słonecznej,
Co Greckie góry uzłaca tak jasno,
Moje źrenice zgasły w nocy wiecznej,
Wszak my tę ziemię zżyznili krwią własną!
Z naszych posiewów drudzy zbiorą plony!
Przede mną droga jałowa i pusta,
Nie mam gdzie głowy utulić znużonej,
Czarnego chleba złaknione me usta.
Zewsząd odparty, cudzy między swemi,
Jam biedny tułacz na mych ojców ziemi!

Ah! wam nie szydzić przez Chrystusa rany,
Z mych zgasłych źrenic, z mej nogi strzaskanej,
Niech was nie śmieszy ta na czole kresa,
Ja Palikarem byłem Botzarisa.
Ta fustanella podarta na szmaty,
Którą mierzycie oczyma z ukosa,
To po zwycięztwie otrzyman przed laty,
Zaszczytny datek z ręki Karaiskosa.
O Bohatery! wy już w zimnym grobie!
Lecz wielkie czyny z wami nie pomarły,
Ku wam ja ręce wyciągam w żałobie,
Po waszych kościach depczą nędzne karły;
Z waszych poświęceń wyrosły im ziarna,
A nasz pot krwawy nic-że tu nie znaczy?
I cóż nam siejba zrodziła ofiarna?
Pogardę ludzką, i kosztur żebraczy!”

Z HEJNEGO.

Wiosennej nocy, gdy kwiatów drużyna
Marzy w cichości,
Niebaczne serce znów pragnąć zaczyna
Nowej miłości.

I któryż z kwiatów dziś sercu zagraża,
Pytam nieśmiały,
A noc mi szepce, a słowik powtarza,
Bym strzegł się lilii białej.

I tęskno mi w duszy i w uszach mych dzwoni,
Straciłem już głowę nareszcie,
Na biedne me serce sprzysięgły się znowu,
I wiosna i oczy niewieście.

I wiosna i oczy przecudne, dziewicze,
Uczynią to znowu, że głupcem zostanę.
Och! wiem ja, że róże i pieśni słowicze
Są także w ten spisek wplątane.

Autor Pamiątek z Litwy.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

XIV.

Co można wyczytać z ręki królewskiej.

— N. panie, nie wiem czy mogę się odważyć?...

— Na co?

— Jeźli wyczytam coś groźnego?

— Żyjemy w czasach tak gwałtownych wstrząśnień, iż najstraszniejsze przepowiednie nie prześcigną rzeczywistości. A cóż tak przerażającego możesz mi pan przepowiedzieć? Czy utratę mej korony? — ależ utraciłem stokroć więcej niż najpotężniejsze królestwo, postradawszy wzrok a z nim widok słońca, nieba, ziemi i morza... Więc weź pan rękę moją i mów co wyczytasz.

— Czy wszystko bez wyjątku.

— Tak. Przypuszczając, że oczekują nas nieszczęścia i klęski, czyż nie lepiej przygotować się do nich, niż gdyby miały spaść nieprzewidzianie?

Benedykt pochylił się nad ręką króla Jerzego i rzekł po chwili:

— Ręka prawdziwie królewska, artystyczna i dobroczynna.

— O! nie praw mi pan komplementów, rzekł śmiejąc się król.

— Patrz tylko, kochany mistrzu, rzekł Benedykt zwracając się się do Kaulbach'a, jak rozwinięta jest góra Apolina, pod czwartym palcem. A właśnie Apollo daje zamiłowanie sztuki, inteligencyą, wszystko co jaśnieje i dodaje blasku. On daje nadzieję nieśmiertelnej sławy, spokój duszy, sympatyą budzącą miłość. Oto góra Marsa umieszczona naprzeciw wielkiego palca; Mars znowu daje odwagę cywilną i wojskową, spokój, zimną krew w niebezpieczeństwie, rezygnacyą, dumę, poświęcenie, stanowczość i siłę oporu. Tylko, na nieszczęście, mamy nieprzychylnego Saturna, i ten nam grozi. Wszak wie w. k. mość, że Saturn to fatalność, a przyznać muszę, iż linie jego nietylko nie są przyjazne ale budzą obawę.

To powiedziawszy, Benedykt podniósł głowę i rzekł rzucając na króla spojrzeniem pełnem uszanowania i współczucia.

— Mógłbym wpatrując się w rękę w. k. mości oznaczyć z niej najdelikatniejsze nawet odcienia jego charakteru; mógłbym wyczytać wszelkie najtajniejsze skłonności i zdolności — ale wolę przejść odrazu do faktów ważniejszych. W. k. mość przebył ciężką chorobę. zdaje się w dwunastym roku życia...

— Rzeczywiście, odrzekł król.

— W dziewiętnastym roku rozciągnęła się fatalna linia, idąca zarazem ku mózgowi i ku górze Słońca; z jednej strony silny atak nerwowy, z drugiej coś podobnego do śmierci — a jednakże nie śmierć — jakieś zaćmienie... a po niem noc zupełna.

— Cyganka powiedziała mi te same słowa — coś podobnego do śmierci, a jednakże nie śmierć. Rzeczywiście bardzo wiele cierpiałem w dziewiętnastym roku życia.

— Ah! ale oto na Jowiszu jakież to dziwne promieniowanie; najwyższe stanowisko do jakiego człowiek dojść może, w trzydziestym dziewiątym roku.

— I to także przepowiedziała mi cyganka i rzeczywiście w tym wieku zostałem królem.

— W rzeczywistości nie znałem dokładnie tej daty, ale łatwo przypuścić, że wiedziałem o tem — może dopatrzę jakiegoś nieznanego faktu. A! otóż jest! straszny przestrach!... wypadek spowodowany wodą... Co to takiego?... łódź w niebezpieczeństwie?... czy okropna burza morska widziana z wybrzeża... czy może nieuchronne rozbicie okrętu na którym znajdowała się ukochana jakaś istota?... Tego szczegółowo oznaczyć niepodobna... Widnieje tylko wyraźnie niewysłowione przerażenie, co wykazuje ta wysepka obok linii fatalnej. Najpewniej była to trwoga o życie ukochanej osoby.

— Czy słyszysz, Erneście? rzekł król zwracając się do syna.

— O! mój drogi ojcze! zawołał następca tronu, zarzucając królowi ręce na szyję.

Poczem rzekł zwracając się do Benedykta.

— O! tak, ukochany ojciec mój przestraszył się ogromnie. Kąpałem się w morzu, w Nordenay. Pływam dobrze, ale przez nieuwagę zapuściłem się zadaleko, i prąd unosić mię zaczął. Byłbym niezawodnie utonął, gdyby nie zacny rybak który pośpieszył mi na ratunek. Jeszcze parę sekund, a byłbym poszedł na dno.

— A ja stałem na wybrzeżu morskiem, rzekł król, słyszałem krzyk, a mogłem tylko ręce wyciągnąć ku niemu! Glocester oddawał królestwo za konia, ja chętnie byłbym oddał koronę za trochę światła!... A! nie mówmy już o tem!... wszelkie nieszczęścia jakieby mnie dotknąć mogły w przyszłości, nie mogą być straszniejsze jak cień tego nieszczęścia jakieby mnie dotknąć mogły w przyszłości, nie mogą być straszniejsze jak cień tego niedoszłego... Dość o przeszłości — mów pan teraz o przyszłości.

Benedykt bacznie wpatrywał się w rękę króla i nareszcie prosił o lupę aby mógł lepiej widzieć delikatne linie. Popatrzywszy przez nią, rzekł:

— N. panie, zostaniesz wciągnięty w wielką wojnę; jeden z najbliższych, nietylko zdradzi, ale obedrze w. k. mość... a jednak spojrz tylko w. k. wysokość, dodał zwracając się do następcy — ta linia Słońca zapowiada zwycięztwo — ale będzie ono jałowe i bezużyteczne.

— Cóż potem? rzekł król.

— O! naj. panie, ileż to rzeczy wyczytać można z tej ręki!

— Złych czy dobrych?

— W. k. mość rozkazał mi mówić wszystko.

— I raz jeszcze powtarzam. Więc owo zwycięztwo?...

— Nie pociągnie pomyślnych następstw. Tu oto linia Słońca przecięta jest po nad linią głowy, przez linię wychodzącą z Marsa i przecinającą górę Jowisza.

— I zapowiada to?

— Upadek... A jednak, po nad owem przecięciem linia Słońca podnosi się znów w górę i dochodzi aż do czwartego palca... nie jest to więc może ostatnie słowo przeznaczenia w. k. mości...

Król zamyślił się wsparłszy głowę na ręku; zdawał się głęboko zapatrzony przed siebie, jak człowiek wielkiemi zajęty myślami.

— Nie umiem wypowiedzieć panu, rzekł po chwili, w ciągu której wszyscy głębokie zachowali milczenie — jak bardzo zainteresowała mnie ta nieznana nauka. Jak najdokładniej opowiedziałeś mi pan przeszłość — dlaczegóż nie mógłbyś wyczytać i przyszłości. Dla wtajemniczonego chmura zakrywająca przyszłość, nie jest gęstszą od zaćmiewającej przeszłość. Może Opatrzność chciała dać człowiekowi naturalny sposób poznania naprzód swej przyszłości, aby zawczasu wyrabiał w sobie siłę do zwycięzkiej walki z przeciwnościami... A nie jest to niemożebnem i byłoby sprawiedliwem... Bo czemużby Opatrzność zapowiadająca burze i pioruny przez gromadzące się chmury, aby każdy mógł zawczasu szukać przed niemi schronienia, nie miała wskazać człowiekowi środków zapowiadających burze życia?... Tak, ja wierzę w prawdziwość tej nauki, dowodzącej harmonii kreacyi i niezmierzonego miłosierdzia Bożego!...

Nastała chwila milczenia, poczem król zapytał Benedykta:

— Jakim sposobem mistrz i przyjaciel pana wtajemniczył się w tę nieznaną naukę? Czy przypadkiem, czy przez szczególne badania i dochodzenia? Lubię sięgać do źródeł. Może przewodnikiem jego był prosty przypadek, ależ wszyscy wiemy o tem iż istnieje zawsze jakiś przewodnik kierujący przypadkami.

— Desbaroles odbywał piechotą podróż po Europie; będąc w Hiszpanii, spotykał się często z cyganami, gdyż jako artystę, zajmowała go malowniczość ich stroju. Słyszał często te dzieci gór i pustyń wróżące z ręki mieszkańcom, i wtedy powziął myśl czy nie dałoby się dojść zasady ich wróżb, dać im pewną stałą naukową podstawę, zasadzającą się na zbadaniu odnośnego stosunku kształtów ręki, z instynktami, skłonnościami i namiętnościami człowieka. Myśl ta, raz powzięta, już go nie opuszczała i zapanowała nad nim wszechwładnie; — a że każda myśl podobna jest magnetyczną, że posiada siłę dośrodkową, i jak magnes cząstki żelaza, przyciąga wszystko co może jej posłużyć i dopomódz do rozwoju, — więc i Desbarolles przybywszy do Paryża, spotkał człowieka z wyższego towarzystwa, który instynktem odgadł system dozwalający poznawać z kształtu rąk nasze skłonności i charakter. Człowiekiem tym był kapitan d'Arpentigny.

Lecz jego system dozwalał tylko wnioskować o tem z powierzchownego kształtu rąk — przyjaciel mój zrozumiał prędko niedokładność i nader małą donioslość tego systemu. Jeżli zewnętrzny skład ręki miał przedstawiać skłonności, to dłoń i wnętrze musiały mieć daleko rozleglejsze znaczenie i ważność. W niej musi być ześrodkowane przedstawienie zdolności wynikających z mózgu, ponieważ drobne ciałka diafragmowe komunikujące bezpośrednio z mózgiem, są zbiornikami elektryczności i gromadzą się w dłoni, będącej, że tak powiem mózgiem ręki. I dla tego zwrócił ku niej swe spostrzeżenia i badania.

— Ale zkąd przyszło mu do głowy obmyślać podobny system? zapytał książę Ernest.

— Bywał wiele w świecie i lubił bardzo ujmować i, o ile się dało, zatrzymywać ręce kobiet. Kapitan d'Arpentigny mieszkał na prowincyi i bywał często na zebraniach u jednego ze swoich sąsiadów, żywiącego nadzwyczajne zamiłowanie do nauk ścisłych, a szczególniej do mechaniki, i dla tego przyjmował u siebie wiele bardzo matematyków i geometrów. Prawem sprzeczności, żona jego nie chciała słuchać rozprawiających o geometryi i matematyce, ale znowu zachwycała się poezyą, muzyką i malarstwem. Aby zadowolnić tak sprzeczne upodobania, mąż przyjmował uczonych, a żona artystów.

„Kapitan uprawiający zarówno poezyą jak i nauki ścisłe, to jest, że w ścisłem słowa znaczeniu nie był ani poetą, ani matematykiem, ale tylko wysoko ukształconym człowiekiem, równie przyjemnie spędzał czas na wieczorach żony jak i na zebraniach męża. Obdarzony był szczególniejszym darem spostrzegania i analizy. Ściskając ręce mężczyzn u męża a kobiet u żony, zrobił spostrzeżenie, że palce arytmetyków, matematykow i nareszcie wszystkich przemysłowców były węzłowate, zaś palce poetów, muzyków i malarzy bardzo gładkie. Słowem różnica palcy tak była ogromna, iż kapitan pomyślał z uśmiechem, że widocznie goście męża i goście żony nie u jednego dostawcy zaopatrywali się w ręce.

„Uderzony tą sprzecznością, przedsięwziął wszechstronniejsze spostrzeżenia. W tym celu zwiedzał pracownie malarzy, artystów, muzyków i poetów. Wszyscy mieli palce gładkie. Obchodził kuźnie i warsztaty — wszędzie u pracowników spotykał palce węzłowate.

„Wtedy rozdzielił społeczeństwo na dwie kasty: palce gładkie, palce węzłowate. Spostrzegł jednak niebawem, że był to system zanadto absolutny; że muszą zachodzić pewne odmiany, oddziały i poddziały. To dało mu do myślenia. Codzienne doświadczenie przekonało go, iż często się mylił — widział więc, że system jego nie jest dość dokładny. Wtedy doszedł jak wielkie znaczenie ma wielki palec. Nie ma go żadne zwierzę, sam tylko człowiek jest nim obdarzony. Wszak nawet małpa, ta karykatura człowieka, ma także tylko karykaturę wielkiego palca.

„Ale intuicya jego nie sięgała dalej; czuł sam, że w chiromancyi dłoń najważniejszą musi odgrywać rolę — zbrakło mu wytrwałości i odwagi, aby oddać się trudnym nad nią badaniom. Zresztą był niedowiarkiem i bał się wszystkiego co mogło zakrawać na mistycyzm — a na samo wspomnienie starożytnej kabały, litośnie wzruszał ramionami.

„Dopiero Desbarolles rozpoczął dalsze badania chiromancyi; zaczął zgłębiać nietylko tradycye astrologii, ale nawet ową tak pogardzoną przez poprzednika swego kabałę. Dalej doszedł do wniosku, że elektryczność jest łańcuchem powszechnym łączącym z sobą wszystkie światy. Obok tryumfującego wówczas systemu próżni Newtona, nowy ten system był niemożebym; ale od czasu gdy zostało wykazanem, iż przestrzenie są zapełnione, wydaje się on zupełnie prosty i zgodny z rozumem; a elektryczność przedstawiona przez eter styka z sobą całą kreacyą.

— Mistycyzm wsparty na logice — tego zawsze pragnąłem, rzekł król, pół poważnie, w pół z uśmiechem.

W tej chwili wszedł dyżurny, oznajmiając, iż przybył minister spraw zagranicznych w jakiejś ważnej i pilnej sprawie. Król zwrócił się do Benedykta.

— Jakkolwiek przepowiednie pana są smutne i niepomyślne, jesteś miłym gościem w domu tego komuś je wypowiedział. Wróżyłeś mi zwycięztwo — zawczasu zamawiam sobie u pana jego obraz. Erneście, przypnij panu Turpin twój krzyż Gwelfów; polecę ministrowi spraw zagranicznych, aby na jutro przygotował dlań dyplom.

Król uścisnął syna, podał rękę Kaulbach'owi, pozdrowił uprzejmie Anderson'a i Benedykta, poczem wyszedł, wsparty jak pierwej na ramieniu adiutanta.

Po jego odejściu następca tronu przypiął swój order uradowanemu Benedyktowi, który podziękowawszy gorąco, pożegnał księcia i wyszedł.

XV.

Baron Frederyk von Below.

Opuścimy teraz Benedykta Turpin, a przejdziem do jednego z trzech przeciwników jego w odbytych pojedynkach, mającego nader ważną w opowieści naszej odegrać rolę.

Jakkolwiek z pierwszego wejrzenia, rana barona Frederyka von Below wydawała się wielką, w rzeczywistości nie była groźną, a że wysłany był z nader pilnem posłannictwem, musiał nie zatrzymując się dłużej w dalszą udać się podróż.

Po opatrzeniu dziennikarza pokazało się, że choć kula go nie dotknęła, ale odbicie od kolby pistoletu tak było silne, iż ślad jej odbił się na twarzy, oko zaszło krwią, policzek spuchł bardzo mocno. Tak tedy, w najlepszym razie, pan Kleist musiał co najmniej dwa tygodnie siedzieć w domu, pozbawiony rozrywek i przyjemności światowych.

Ranieni zajęli wnętrze powozu, świadkowie usiedli na przodzie. Hojnie wynagrodzony przez barona chirurg, pozostał przy Müller'ze, który pomimo puszczenia krwi, nie odzyskał jeszcze przytomności.

Gdy baron Frederyk Below i pan Kleist powrócili do „Hotelu królewskiego", znano tam już rezultat pojedynku i tryumf Benedykta. Pruska ich narodowość nie zjednywała im tu wcale sympatyi, to też przyjęto ich z pewnem odcieniem szyderstwa, co spowodowało pana Kleist, iż choć cierpiący, niezwłocznie udał się koleją z powrotem do Berlina.

Co do majora, który tylko z powodu pojedynku zatrzymał się w Hanowerze, niebawem odjechał koleją do Frankfurtu.

Musimy tu kilka słów powiedzieć o nim. A najpierw co skłoniło go do zawodu wojskowego, i jakim przypadkiem oceniono jego wartość, uznano i oddano sprawiedliwość.

Frederyk von Below pochodził z rodziny zamieszkałej we Wrocławiu, a był na uniwersytecie w Jena. Pewnego dnia postanowił odbyć piechotą podróż nad brzegi Renu, jak to jest zwyczajem w uniwersytetach niemieckich.

Wybrał się samotny na tę wycieczkę, nie przez mizantropią, ale że był poetą, nie chciał krępować się niczyjem towarzystwem, aby mógł zatrzymać się i odchodzić kiedy mu się podoba. Tak przybył do najwięcej malowniczej nad Renem miejscowości, zwanej Siedm-Gór.

Na przeciwnym brzegu, na wzgórzu, wznosił się świeżo odnowiony prześliczny pałac gotycki,

własność teraźniejszego króla pruskiego, będącego wówczas następcą tronu. Pałac nietylko został odnowiony według dawnych planów, ale całe umeblowanie składało się z mebli pochodzących z XVI wieku, nabytych w okolicy od wieśniaków i mieszczan, jakoteż od klasztorów, oraz nowemi wyrobionemi na wzór starożytnych przez najcelniejszych majstrów. Obicia, dywany, lustra, wszystko to było zastosowane do mebli i tworzyło śliczne miniaturowe muzeum sprzętów, broni, obrazów i różnych ciekawych zabytków.

Gdy książę nie był obecnym w pałacu, dostojniejszym podróżnikom pozwalano go oglądać. Trudno to jakoś dokładnie określić *dostojność;* ponieważ Frederyk pochodził z dobrej szlachty, uważał więc, że choć podróżuje piechotą, ma prawo obejrzeć pałac, i dlatego z węzełkiem na plecach i z okutym kijem w ręku zapukał do kraty. W tejże chwili rozległ się dźwięk trąbki i drzwi się otwarły. Ukazał się odźwierny a za nim oficer w stroju z XVI wieku, który zapytał go czego żąda.

Frederyk von Below oznajmił, że jako zamiłowany w archeologii, pragnąłby zwiedzić pałac księcia następcy.

Oficer odpowiedział, iż przykro mu bardzo, że nie może zadość uczynić jego żądaniu, ale wczoraj właśnie przybył intendent księcia z zapowiedzią, że tenże przyjeżdża przed upływem dwudziestu czterech godzin, niewolno więc nikogo z obcych wpuszczać do pałacu. Prosił jednak, aby zgodnie z przyjętym zwyczajem, przybyły zechciał zapisać w księdzę zwiedzających swój stan, imię i nazwisko.

Czyniąc zadość wezwaniu, wziął pióro i napisał: „Frederyk von Below, student uniwersytetu w Jena". Poczem wziął swój kij okuty, pożegnał oficera i zaczął zstępować ze wzgórza na którem wznosił się pałac. Nie uszedł jeszcze stu kroków gdy usłyszał wołanie. Odwrócił się; oficer skinął ze drzwi żeby się zatrzymał i wysłał do niego pazia z oznajmieniem: iż intendent prosi aby powrócił, przyjmując na siebie odpowiedzialność za przekroczenie zakazu i pokazanie mu pałacu.

Jakby przypadkiem, Frederyk zaraz w przedpokoju zastał pięćdziesiątkilkoletniego mężczyznę — był to intendent.

Zaczął rozmawiać z młodym studentem, i widać podobała mu się jego rozmowa, gdyż ofiarował się służyć mu za przewodnika po pałacu, na co naturalnie młody student zgodził się najchętniej.

Intendent był człowiekiem ukształconym, Frederyk niepospolitym młodzieńcem, dość że trzy czy cztery godzin przeszło im niepostrzeżenie na zajmującej pogadance. Wtem lokaj zameldował intendentowi, że podano obiad. Frederyk podziękował uprzejmie swemu *cicerone*, mówiąc, iż żałuje bardzo, że musi się z nim rozstać.

Widać iż i pan intendent żal ten podzielał, gdyż rzekł do niego.

— Wiesz pan co, podróżujesz po studencku, ja jestem tu niby jak kawaler, zostań ze mną na obiedzie. Nie będziesz obiadował tak wytwornie jakby u króla pruskiego, ale zawsze lepiej jak w hotelu.

Frederyk odmówił niby zaproszenia, jak wypadało człowiekowi obeznanemu z dobrem towarzystwem, ale że w gruncie duszy bardzo pragnął pozostać, więc ponowione zaproszenie przyjął z nietajoną radością.

Intendent i on obiadowali sam na sam; poeta i filozof zarazem, jak to się jeszcze niekiedy napotyka w Niemczech, młody student widocznie bardzo podobał się gospodarzowi, który po skończonym obiedzie zaproponował mu partyą szachów.

Intendent był doskonałym szahistą; Frederyk bronił się dość dobrze i na cztery partye wygrał jedną. Mógłby może wygrać więcej, ale postępował jak prawdziwy dworak.

Ani się spostrzegli, że tak późno, gdy północ wybiła — o tak późnej porze trudno było wracać do miasteczka. Po pewnych ceremoniach, Frederyk pozostał na noc w pałacu, gdzie posłano mu łoże landgrafa Filipa, i dopiero nazajutrz po śniadaniu intendent pozwolił mu w dalszą puścić się drogę.

— Mam ja trochę stosunków na dworze, rzekł żegnając się, jeźliby pan miał tam kiedy jaki interes lub prośbę, proszę, udaj się do mnie.

Frederyk przyrzekł, iż w danym razie nie omieszka korzystać z jego uprzejmości.

— W każdym razie, dodał intendent, choćbyś pan zapomniał o mnie, ja nie zapomnę o nim, i dla tego zapisuję sobie jego nazwisko.

Ukończywszy swą podróż nad brzegiem Renu, Frederyk powrócił na uniwersytet w Jena, a skończywszy go chlubnie, wszedł do dyplomacyi i niesłychanie zosłał zdziwiony gdy pewnego dnia wezwano go do wielkiego księcia.

— Wybrałem pana, rzekł książę, abyś udał się do Berlina powinszować ode mnie królowi Wilhelmowi I-mu, jego wstąpienia na tron.

— Mnie! zawołał zdumiony, ale któż ja jestem odnośnie do tak wielkiego zaszczytu?

— Jakto, kto pan jesteś? jesteś baron Frederyk von Below.

— Ja baronem?... i odkąd-że to, jeźli łaska w. k. mości.

— Odkąd mianowałem pana baronem. Pojedziesz pan jutro o dziewiątej, a o ósmej doręczą ci listy uwierzytelniające.

Nie pozostawało mu jak podziękować składając głęboki pokłon, co też uczynił i wyszedł.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA
Z GALICYI.

Makaty pamiątkowe. Nie ma wiosny. Zapał dla sztuki... łamanej: pustki w teatrze. Uczta dla Rapackiego. Wiersz Aurelego Urbańskiego. Jeszcze koncert telefoniczny. Książki. Jak się trujemy. Nasi ojcowie miasta i *intelligencya*. Co było, co się zrobiło i co się zamierza robić. Czteromiljonowa pożyczka. Ks. Maciej Hirschler, biskup przemyski.

Zaczynam list dzisiejszy od udzielenia ciekawej i ważnej wiadomości o wspaniałym darze złożonym tutejszemu kościołowi archikatedralnemu. Są to olbrzymie makaty, z których jedna już skończona, po odbyciu uroczystego poświęcenia w początkach maja, zawieszoną została w presbiterium. Kilkadziesiąt pań lwowskich pracowało nad wykończeniem tej pamiątkowej makaty od 12 czerwca 1879 roku do 1 maja 1881 roku, czyli okrągłe dwa lata. Wyobraża ona część naszej historyi w obrazach: a więc odpowiednio ułożone herby wszystkich województw, wizerunki: Mieczysława I, Bolesława Chrobrego, Bolesława Krzywoustego, Kazimierza Wielkiego, królowej Jadwigi, Jagiełły, Władysława Łokietka, Anny Jagielonki, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Jana Sobieskiego; hetmanów: Jabłonowskiego, Zamojskiego, Chodkiewicza, Czarneckiego, Tarnowskiego i Żółkiewskiego; wodzów: Dąbrowskiego, Kościuszki, Pułaskiego, Sowińskiego, Sierakowskiego. Nad drugą podobną panie nasze już pracują.

Jak wszędzie, tak i u nas maj udawał, że jest marcem, to znowu że jest lipcem; ale, o ile był szczodry co do dni zimnych, o tyle skąpy co się tycze ciepłych. Owe ulubione majówki zaginą niepowrotnie przy takim meterologicznym bezładzie, bo od zimy przechodzi się bezpośrednio do letnich upałów. O wiośnie będziemy wiedzieli tylko z podań. Na tych chłodach jednakże ktoś zawsze dobrze wychodzi. Tym razem, jak się to najczęściej zdarza, zyskuje... Niemiec, pan Krembser, który zbudował drewniany cyrk i pokazuje niesmacznych germańskich clownów i uczone konie. Zapał ogarnął najbardziej ucywilizowane sfery naszego miasteczka. *Le beau monde* przepełnia budę, w hałaśliwy sposób wyraża swoją admiracyą dla wykształconych bydląt; płeć szpetna dostaje drgawek z zachwytu, jakim ją napawają jasnowłose niemki i czarnookie węgierskie żydówki; płeć nadobna omdlewa z rozkoszy na widok jakiegoś tam anglika kozłującego na koniu.

Ale im nie dość przedstawienia: obie płci do wzruszającej dochodzą zgody w entuzyazmie dla uczczenia wierzgających, klękających i t. d. koni, i oddają im tłumne wizyty... w stajni. Tam dopiero rozprawy nad pięknością bydląt, zdolnościami i genialnością, roztkliwianie się blizkie łez nad wdziękiem ich ruchów i biegu.

Ale do teatru tej pełnej uniesień dla koni sfery niczem nie zwabi, chyba śliską farsą. Ręczę, że ani Królikowski, ani Rychter, ani Rapacki, ani nawet Rossi nie potrafiliby tych pań i panów tak do głębi wzruszyć, jak koń Sahib lub linoskok anglik o wspaniałej muskulaturze, 20 latach i dwóch rzędach rodowych i białych zębów.

To też teatr opustoszał. Na trzecie przedstawienie Asnykowego Kiejstuta nie znalazło się amatorów, bo to pokarm umysłowy, podniosły, ale trzydziesty raz ponowione też same konne sztuki i też same prostackie koncepta niemieckich błaznów napełniają budę cyrkową aż po sam wierzch. Rapacki tylko miał to szczególne szczęście, że przyciągnął do gmachu Skarbkowskiego część naszej publiczności. Zwolennicy prawdziwej sztuki dali dla niego skromną ucztę na pożegnanie. Dziennikarze, artyści, literaci w liczbie około 60, uczcili go jak mogli w przemówieniach podnosząc jego zasługi jako artysty i pisarza. Toast lwowskiego dramaturga p. Aurelego Urbańskiego zasługuje na przytoczenie.

Czyja pierś, gdy grzmi spiżawo,
Na milionów jęk nie głucha,
Bo w niej jako żywe słowo,
Pan zaszczepił swego ducha;

W czyjej skroni Znicza żary
Świętym ogniem tlą zapału,
Dla przeszłości, dawnej wiary,
I dla piękna ideału;

Skrzydłem *ten* potężnem wzlata
Nad poziome tłumy bratnie!...
Mistrzu!... oto bramy świata,
Słowo twoje... *nie ostatnie...*

Dłoń twa silna, pracą twarda,
Ramię tą szermierką dzielne,

Po *Artysty* i po *Barda*
Wieńce sięga nieśmiertelne.

Więc natchnienia boska córa
Wawrzyn *ci* podwójny chowa:
Jeden — dla *szermierza pióra*
Drugi zaś — dla *mistrza słowa!*

Niezatarte *twoje* imię
Przyszłość w mglistej kryje szacie:
Bo też w duchu *twym* olbrzymie
Wytwarzają się postacie!

Myśl *twa* snuje nam poemat
Dziejów onych — świetnych ongi...
„*Stwosz*" — „*Kopernik*" — wielki temat!
To nie ludzie, lecz posągi!

Naprzód więc przez życia ciernie!
W kim tak święty płomień gore!
Czerp natchnienie twe w „*Acernie*"
I „*pro domus*" walcz „*honore*".

Po urzędowych, że się tak wyrazimy toastach, rozpoczęła się wesoła gawędka, przeplatana pełnemi dowcipu improwizacyami pp. Bełzy i Zagórskiego.

Mieliśmy jeszcze parę koncertów, ale dotknięte suchotami wkrótce śmierć znalazły. Powiodło się tylko szczęśliwie powtórzenie telefonicznego koncertu, które tem się różniło od opisanego przeze mnie w poprzednim liście, że połowa artystów udział biorących pozostała we Lwowie, połowa zaś udała się do Żółkwi.

Tu publiczność się zebrała na dochód *Stowarzyszenia pracy kobiet*, w Żółkwi na dochód miejscowych instytucyi. Każda więc publiczność miała koncert bezpośredni, w samej-że sali spiewany lub grany, a następnie pośredni, bo przez telefon pana Machalskiego. Szczególny zresztą koncert, artyści bowiem i artystki, słuchacze lwowscy i żółkiewscy, wynalazca, a w dodatku różne stowarzyszenia, słowem wszyscy zostali nim zachwyceni. Rzadka u nas zgodność, nawet w świecie muzyki.

Książki zawsze tylko jak komety zjawiają się na nowym literackim widnokręgu. Tym razem dramatyczny rodzaj obficiej jest reprezentowany jak inne.

Na czele postawimy Aurelego Urbańskiego: *Na poddaszu* i *Dramat jednej nocy*. Autor skromnym ochrzcił je tytułem „poematów dramatycznych". Nam się zdaje, że przystoi im nazwa dramatów. Oba są jednoaktowe. W pierwszym autor przedstawia młodego chłopca, który pomimo najpodnioślejszych tradycyi rodzinnych, tak częstych u nas nawet między ludem, nawet „na poddaszu", dał się opanować nieszczęsnej wódce. Stara, zacna, szlachetna matka i czyste pełne poświęcenia dziewczę, jego narzeczona, nie zdołały go ocalić. Schodzi on powoli po stopniach złego i ginie na ostatnim stopniu zbrodni.

Atmosfera tragicznej grozy owiewa rzecz całą, prostą w pomyśle i w wykonaniu a podniosłą w dążności. Wiersz nierymowany odznacza się wielką siłą i jędrnością. Wyżej jednak stawiamy *Dramat jednej nocy*, żałując, że nie możemy podać szczegółów o tym pięknym utworze. *Utwory dramatyczne Adolfa Abrahamowicza, serya I. Komedye: 1) Dwie teściowe, 2) Inserat, 3) Gwałtu! on ma bzika.* Pan Aureli Urbański jest zbyt skromny, pan Abrahamowicz zamało. Utworom wymienionym nie należy się wcale tytuł *komedyi*. Są to krotochwile zaledwie, bez charakterów, prawdopodobieństwa, dążności. Kilka szczęśliwych sytuacyi, dużo ruchu i humoru, oto wszystko. Dowcip jest trywialny po większej części, język zaniedbany, pospolity w wyrażeniach, pełny błędów gramatycznych i niepolskich zwrotów. W czytaniu farsy te tracą trzy czwarte swojej wartości. Na scenie zaś żywość akcyi i dobra gra artystów a szczególniej humor, bawić mogą publiczność niebardzo wybredną; ale gdy to wszystko co daje scena zniknie, mało co zostaje i owe *komedye* stają się niepierwszorzędnemi nawet farsami. *Uriel Akosta*, trag. w 6 akt. K. Gutkowa, wolny przekład wierszem Mikołaja Bołoz Antoniewicza, drugie wydanie, piękne tłomaczenie w modzie niegdyś będącego utworu.

Oprócz kilku dzieł fachowych, winniśmy zanotować wyszłe w *Bibl. pow. podr. i opow. hist.*, wydawanej przez Gubrynowicza i Schmidta trzy obrazki Sygurda Wiszniowskiego. Niestrudzony nasz podróżnik dał w tym tomie *Odettę* z życia w Kanadzie, *Czarna czy biała*, obrazek przenoszący nas na wyspę Kubę i *Hidalgo*, który maluje obyczaje w Stanach Zjednoczonych. Oprócz charakterystycznych rysów, które autor umie tak szczęśliwie chwytać, śliczne opisy natury głęboko odczutej czynią niewielkie te utwory istotnie nęcącemi.

Przejdźmyż teraz od tych pąków, które nam pobyt w stolicy umilać by mogły, do kłopotów codziennego życia, od sfer sztuki do lwowskich mizeryi. Liczba ich niemała. Pomijamy ospę rozszerzającą się podobno we Lwowie, tyfus plamisty grożący nam z Krakowa i Pesztu. Mamy tu rodzime trucizny. Miasto zbudowane w kotlinie, na bagnistym gruncie, nie odznacza się zdrowem powietrzem, szczególniej gdy weźmiemy na uwagę słynną rzekę Pełtew, która przepływa przez środek stolicy, roznosząc wyziewy ze wszystkich ścieków i kanałów zastępujących naturalne dopływy. Trujemy się potem wodą niewszędzie zdrową, następnie fabrykowanem mlekiem, winem, masłem i t. d., i t. d.

Musiała nas Opatrzność iście żelaznem opatrzeć zdrowiem, kiedy nie wymarliśmy dotąd. Na to widać liczą ojcowie miasta, czyli tak zwana Rada miejska ze 100 głów złożona, bo pomimo wielu zajadłych szturmów nie raczyli odstąpić od zasady, że lepiej tracić żony, synów i córki, niż guldeny. Siebie zaś mieli za nieśmiertelnych. Nie wiem co się nagle stało, ale większość tych Jowiszów stołecznych dała się zmiękczyć ni z tego ni z owego i przekonać, że oszczędność na zdrowie nie jest właściwie oszczędnością, jeśli się policzy doktora i aptekę.

Na początek przeparła mniejszość, zwana w języku miejscowych mieszczan *intelligencyą*, dawno już stawianym i odrzucanym wnioskiem utworzenia posady chemika miejskiego, którby za pomocą rozbiorow chemicznych oceniał dobroć sprzedawanych wiktuałów. Na początek, powiadam, wstawiono do budżetu 1000 złr. dla owego chemika. Mamy nadzieję, że ojcowie miasta, gdy się przekonają, co jedli i pili dotąd, czyli, czem się truli, zgodzą się na urządzenie laboratoryum i mianowanie stałego urzędnika do chemicznych rozbiorów. Niedość tego, wzmiankawana intelligencya tak się rozzuchwaliła, że pragnie zaciągnięcia 3 lub 4-miljonowej pożyczki, aby zrobić rewolucyą całą w zaniedbanej od stu lat przez Niemców stolicy. Sto lat bowiem nikło gdzieś 800,000 złr. rocznego dochodu, a nie było ani szkół, ani bruków, ani rynsztoków, ani żadnej rzeczy, która w mieszkalnych miastach jest. Od 15 lat dopiero zaczęto porządek wprowadzać, gdy zarząd miastem przeszedł od dumnych kulturträgerów w ręce naszych mieszczan. Ociągają się oni ze wszystkiem, ale przekonać się dadzą ostatecznie i ulegają. Tym sposobem wybudowano kosztem gminy dwa gimnazya, kilka szkół wydziałowych, wybrukowano kilka ulic, uporządkowano ogrody, ochroniono pomniki od zagłady, poparto mnóstwo stowarzyszeń i instytucyi. Teraz zabierzemy się do kanalizacyi miasta, przykrycia wonnej Pełtwi, wodociągów, domu dla ubogich, gmachu dla muzeum przemysłowego, składów zbożowych, bruków i dróg, szkół i t. p. rzeczy. Gdybym miał 200 rąk, klaskałbym wszystkiemi temu projektowi pożyczki, która nas ocali od zarazy prędzej niż kwas karbolowy i od socyalnych trucizn, bo nam da oświatę.

Zakończę wiadomością o śmierci księdza Macieja Hirschlera, biskupa przemyskiego. Ur. w 1807 roku z rodziców Niemców w Winnikach pod Lwowem, do szkół uczęszczał w Tarnopolu, studya teologiczne kończył w Wiedniu. Wyświęcony w 1830 roku na księdza był 15 lat katechetą w Brzeżanach, potem proboszczem w Gołogórach, następnie kanonikiem gremialnym we Lwowie. Posunięty na infulata i dziekana kapituły lwowskiej, w 1869 roku został mianowany biskupem dyecyzyi przemyskiej. Przywiązał się był prędko do ludności wśród której żył i Niemcem był tylko z nazwiska. Człowiek światły i energiczny, byłby zapewne wielkie położył zasługi, gdyby nie choroba, która go dręczyła i ostatecznie przyprawiła o śmierć. Mówią wiele o jego dobroczynności i szczodrych zasiłkach uczącej się młodzieży. Wielka to dla niej strata!

WYSTAWA W PAŁACU BRÜHLOWSKIM.

(Dalszy ciąg).

Sala D. Warszawskie laboratoryum chemiczne nęci tu wonią pachnideł, kosmetyków i mydeł toatetowych a cierpiących na zęby krople amerykańskie właściciela pana Majewskiego. Cennik tej fabryki przedstawia niezliczoną liczbę wyrobów wogóle niedrogich, a niektóre zadziwiająco tanie, jak np. mydła począwszy od 2 kop. tabliczka aż do 40, perfumy od 15 k. flakonik. A jakaż tu niezliczona ilość gatunków i rodzai. Krople amerykańskie p. Majewskiego odznaczone zostały kilkunastu nagrodami, medalami i świadectwami osób ukoronowanych, jak np. złotym medalem od Oskara II, króla szwedzkiego, z napisem: *in sui memoriam.*

W tejże sali mieszczą się wyroby powroźnicze Ch. Piernikarza, który po raz pierwszy bierze udział w wystawie. Dalej W. Karpińskiego z Warszawy: wina lekarskie, wody mineralne, cukierki przeczyszczające i galmanin. Firma ta pierwsza upowszechniła w kraju używanie wód gazowych, a doskonałe jej wyroby nagrodzone zostały zaszczytną wzmianką na wystawie paryzkiej w 1878 r. Galmanin jest to proszek przeciw odparzaniu ciała, i nietylko w kraju ale i za granicą zyskał zasłużone uznanie.

Fabryka ultramaryny i przetworów chemicznych p. Emila Werner'a z Warszawy, wystawiła kilka gatunków ultramaryny, polewy na kafle, kwas octowy i różne przetwory farmaceutyczne.

Pan Feliks Wierzbicki i S-ka z Warszawy, wyroby gumowe i ubiory nieprzemakalne. Fabryka

ta istniejąca od roku, jest dotąd pierwszą i jedyną u nas, i zajmuje dziesięć robotnic.

Na ostatek mamy jeszcze w tej sali wyroby pończosznicze i trykotarze p. R. Schmidta z Warszawy. Fabryka ta istnieje od 1870 r., zajmuje 60 robotnic, samych Polek, przerabia wełnę, jedwabie i bawełnę zagraniczną. Wyroby tej fabryki zyskały powszechne uznanie i odznaczone zostały medalami na wystawach w Warszawie w 1878 i 1880 r. Obrót roczny około 60,000 rs.

Sala E. Zajmują okazy fabryki Mintera, od pół wieku już istniejącej i mającej za główny cel zaopatrywanie potrzeb gospodarstwa domowego; wyrabia wytłaczane naczynia żelazne, cynowane i emaliowane, które dawniej sprowadzano z zagranicy. Drugim kierunkiem działalności fabryki jest odlewanie statuetek i większych figur, według artystycznie wyrobionych modeli. Wybór przedmiotów jest bardzo znaczny; mamy tu gustowne odlewy do ozdoby pokoi, stolików, oranżeryj i parków. Co do wyrobów gospodarskich, te z powodu iż wyroby miedziane coraz są droższe, mogą je w zupełności zastąpić; znacznie mniej kosztują i nie grożą niebezpieczeństwem przy nieopatrznem używaniu. Wyroby tłoczone maszyną z blachy żelaznej, są z obu stron pobielane i w razie zużycia, pobiała może być odnowioną. Zwracamy na te przedmiota uwagę.

Sala F. Wyroby stolarskie p. Gaszczyńskiego z Warszawy. W zakładzie tym wyrabiane są przeważnie przedmioty, których wykończenie wymaga długiego czasu i zdolnego robotnika, co jest powodem, że ceny mogą być zaledwie dla wyjątkowych osób dostępne. Mamy tu prześliczne cacko szafkę na książki z drzewa orzechowego, cena 600 rs., takież biurko damskie, cena 200 rs., toaletę damską 165 rs., stół rozsuwany dębowy, 60 rs. i kilka krzeseł dębowych wyplatanych. Zakład ten zatrudnia 60 robotników, w tej liczbie 5 kobiet; na wystawie Paryzkiej w 1878 r. p. G. otrzymał list pochwalny i medal bronzowy od Akademii Rolnictwa, Przemysłu i Handlu, oraz list pochwalny na wystawie Muzeum w Warszawie.

Sala G. Zajęta jest niemal wyłącznie przez wyroby garbarskie i białoskórnicze pp. Bauerfeind, Pfeifer, braci Schlenker, Temler i Szwede. P. Romanowski przedstawił uprząż i siodła, oraz koła i niektóre części z fabrykacyi powozowej. P. Orłowski i S-ka pasy skórzane do maszyn. P. Maks Kipmann różnego rodzaju rękawiczki. Tego rodzaju wyroby nasze dawno już pozyskały zasłużone uznanie.

W tejże sali p. Kozietulski i S-ka z Targówka pod Warszawą, wystawił oleje roślinne: rzepakowy i lniany i pozostałe z tych nasion odtłuszczone mąki. Pan Macatis z Warszawy, wyroby z drutu i blacharsko-galanteryjne.

Sala H. Tu zgromadził się liczny zastęp wystawców. Fabryka wyrobów z bronzu i innych metali istnieje od 1878 r. i zatrudnia 50 robotników, samych krajowców. Wyrabia przedmioty sztuki, galanteryą metalową, przedmioty mające zastosowanie w budownictwie i różne ornamentacye; przerabia rozmaite metale, które bierze w stanie surowym. Za wyroby swoje fabryka otrzymała na wystawie paryzkiej 1878 roku medal srebrny. Obrót roczny około 60,000 rs.

Fabryka p. Bitschan z Warszawy przedstawiła wyroby metalowe, a w szczególności: płaskorzeźby, herby, litery metalowe, napisy. Istnieje od roku 1828, zatrudnia 20 robotników, samych krajowców. Do wyrobu używają się tu wszelkie metale a nawet szkło. Obrót roczny 40,000 rs. Wyroby jej odznaczone zostały w Warszawie 1876 r. dyplomem złotego medalu, a w 1878 roku w Paryżu medalem bronzowym i srebrnym od Akademii Rolnictwa i Przemysłu.

PP. Błaszkiewicz i Patzer z Warszawy, przedstawili wyroby z lano-kutego żelaza, galanteryą, postumenty do lamp i lampy wiszące. Pierwsza tego rodzaju fabryka w naszym kraju, dzięki jej, wiele pieniędzy wysyłanych Niemcom pozostaje w kraju. Brak uzdolnionych modelatorów i rysowników, jest powodem, że dotąd wyroby odlewane są podług wzorów sprowadzanych z zagranicy, a w części tylko z modeli wykonywanych przez początkujących, większe nadzieje rokujących pracowników. Zapewnie iż zapatrując się ze stanowiska ściśle artystycznego, możnaby wyrobom pewne poczynić zarzuty, ale ze względu nader pożądanej taniości, oraz trudnych zawsze początków, niepodobna wymagać doskonałości, w ogóle jednak przedstawiają się korzystnie, i zupełnie zasłużenie znalazły znaczny odbyt w Cesarstwie i Królestwie. Fabryka pierwszy raz daje wyroby swoje na wystawę; zatrudnia około 100 robotników, wyłącznie krajowców; obrót roczny dochodzi do 100,000 rs.

Hantke Bernard, wystawił obelisk urządzony z wyrobów swej fabryki, produkującej wyroby druciane, akcesorya do szyn, potrzeby dla dróg żelaznych i telegrafów, łopaty ogrodowe i do kopania rowów, i t. d. Fabryka ta istnieje od roku 1865, zatrudnia 400 robotników samych krajowców; obrót roczny 700,000 rs. na wystawie politechnicznej w Moskwie otrzymała złoty medal bardzo zasłużenie, gdyż wyroby jej są doskonałe.

Bracia Mayerson i Margulies, z Warszawy, przedstawili stal narzędziową w sztabach, wyroby stalowe, j. t. pilniki, kowadła i t. p. Fabryka ta istnieje od 1879, zajmuje około 130 robotników, w trzeciej części tylko krajowców. Jest to jedyna tego rodzaju fabryka w Królestwie i w Cesarstwie i coraz lepiej się rozwija.

Peltin i współka przedstawili nader liczny zbiór męzkich krawatów, z których wiele znalazło już amatorów. Fabryka ta daje pracę przeważnie kobietom, tak w zakładzie jak na zewnątrz.

P. Russyan przedstawił swego wynalazku krople od bólu głowy, p. n. „Brassicon", mają być nader skuteczne w wypadkach uderzeń krwi do głowy, w bólach reumatycznych i migrenowych, oraz pochodzących z niedyspozycyi żołądka. Krople te są wyrabiane z rośliny *Rassica nigra alba* i *brassica rapa;* dla uśmierzenia bólu, trzeba nacierać płynem tym za uszami, czoło i skronie, oraz tę część głowy gdzie ból najwięcej dokucza. *Brassicon* uzyskał aprobatę tutejszego urzędu lekarskiego; dla ułatwienia ich zbytu ma być założone oddzielne laboratoryum w Warszawie.

Fabryka sukna i kortów pana Rudowskiego w Zgierzu wystawiła korty, kamgarny i wełniaki; istnieje ona od 1840 roku, zajmuje obecnie 60 robotników samych krajowców, pracujących na 60 warsztatach ręcznych. Wełna tu przerabiana jest wyłącznie krajowa, z wyjątkiem $^1/_{10}$ wełny czesanej. Obrót roczny około 100,000 rs.

Trotschel z Warszawy, bilard. Fabryka istnieje od roku 1830, zatrudnia 30 robotników, samych krajowców; oprócz tego właściciel posiada fabrykę krzeseł amerykańskich dziurkowanych.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Dokończenie.)

Tak to nasz tłomacz niekiedy sam psuje udatne swe zkądinąd prace. Następuje przekład dwu satyr Juwenalisa. Tłomaczowi udało się wogóle pochwycić i oddać bardzo dobrze zjadliwy i żółciowy ton tego pseudo-poety wieku Neronów i Domicyanów, któremu za natchnienie służyło „oburzenie"; co się zaś tyczy wierności przekładu, i tutaj znajdujemy to samo, co we wszystkich innych tłomaczeniach: raz wierność ścisłą, to znowu tylko parafrazę lub oddalone porównanie. Dla zestawienia przytoczę tylko początek ustępu z satyry 3-ej, gdzie Juwenalis skarży się na upodobanie spółczesnych do Greków i wschodnich barbarzyńców, wtedy Rzym zalewających. „Opowiem teraz prędko (i teraz wcale wstydzić się nie będę), jakie plemię najmilszem jest dla naszych bogaczów i kogo jak najbardziej unikam. O Kwiryci! Nie mogę znieść widoku waszego greckiego miasta. A ile w niem greckich śmieci? Już dawniej syryjski Orontes dopłynął do Tybru, niosąc swój język, obyczaje, grajków z cytrami o ukośnych strunach, narodowe cymbały i dziewczęta, trzymane niedaleko cyrku. Biegnijcie tam miłośnicy barbarzyńskich niewiast, w pstre czepce ustrojonych. O Romulusie! Twój wieśniak przywdziewa pstrą grecką szatę, a nagrody zwycięztwa w cyrku nosi na szyi wysmarowanej maścią z wosku i masła. Ten oto pochodzi z wysokiego Sycyonu, ów—z Amydontu, tamten—z Androsu, inny—z Samosu, z Trallów lub z Alabandy, a wszyscy śpieszą na Eskwilin lub pagórek Wiminalski do wnętrza wielkich domów, których będą kiedyś panami. Umysł u nich bystry, zuchwalstwo bezczelne, wymowa łatwa i bardziej porywająca niźli u Izeusza. Jak ci się zdaje, czem jest ten Grek? Przyszedł on do nas, jako człowiek zdatny do wszystkiego, co chcesz. Jest to gramatyk, mówca, matematyk, malarz, łaziennik, wróżbiarz, skoczek, lekarz, czarownik. Głodny Grek wszystko umie: gotów nawet pójść do nieba na twój rozkaz." (Juven. Sat. III v. 58—78).

Jest to przekład dosłowny. A oto wolny, choć gładki i ładny przekład p. Felicyana.

Jednak, co głównie twarz mi wstydem pali,
I przed czem uciec radbym jak najdalej,
To że nie mogę dłużej już, Kwiryci,
W tym Rzymie naszym znieść greckiego miasta!
Pośród tej mierzwy jakże też swobodnie
Syryjskie zielsko buja! Gędźby wschodnie,
Brzękadła, harfy, z któremi się szasta
W jaskrawych mitrach, o bezwstydnej twarzy,
Tłum dziewek pustych z gladyatorów szują.
O Romulusie! Ci, co im dworują,
Któż są? Rzymianie! Płaszczyk pieczeniarzy
Z ramion im *furcze* (?), karki ich obrzydłem
Cyrkowem świetnie lśniące smarowidłem,
Obroże zdobią, zdobyte zaszczytnie
W arenach! Tak jest, Grecya u nas kwitnie!
Hejże Greczyni! Hej drapieżne ptaki,
Z Sycyonu, z Samos, z Andros siaki taki,
Najsromotniejszy bezwstyd was nie plami,
Byleście w Rzymie byli nam panami.
Toż w was niedarmo i przebiegła dusza
I swada *rwistsza* (!) niźli Izeusza.
Cóż to jest Greczyn? Co umie? Któż zliczy?
Wszystko! Gramatyk, retor, mag, mierniczy,
Malarz, łaziennik, wieszczbiarz, i na linie

Skoczek i lekarz. Nawet, niech kto skinie,
By w górę frunął — gotów on i na to.

Reszta książki poświęcona przekładom z poetów nowszych. Pominąwszy całkiem ustęp z Danta i urywki z dwu innych poetów włoskich, powiem słówko o kilku scenach z Szekspira, które p. Felicyan urywkowo tu pomieścił. Przekłady te, jako ułamki, mało mają wartości, a chociaż w wybranych przez tłomacza scenach istotnie występuje cała groza tragiczna i świetne zalety utworów Szekspira, to jednak te piękności prawie całkiem nikną w przekładzie nieścisłym, a często nawet dowolnym. Oto weźmy np. Scenę III z części 2-ej Henryka VI. Król odwiedza umierającego kardynała Beauforta, który walczy ze śmiercią, dręczony wyrzutami sumienia za popełnione zbrodnie (głównie za zabójstwo ks. Glocester). Widząc przed sobą widmo Glocestera, Beaufort woła: „Przygładź mu włosy! Patrz, patrz! Najeżyły się, jak gałęzie lipy sterczące aby pochwycić ulatującą mą duszę! Daj mi pić i niech aptekarz poda mi truciznę, którą u niego kupiłem.„ (W oryginale:

Comb down his hair! Look! Look! It stands upright,
Like lime—twigs set to catch my winged soul!
Giwe me some drink and bid the apothecary
Bring the strong poison that I bought of him).

U pana Felicyana:

. . . . . i te jego włosy
Wstające dębem, w które, *jakby w matnię*
Dusza *jest* moja *oplątana!* Pić!
Pić mi podajcie—i niech kto pobiegnie
Do aptekarza, by *jak najdzielniejszy*
Jad mi zgotował...

Na to król: „O ty, odwieczny Władco niebios! Spojrzyj łaskawem okiem na nieszczęśliwego, odpędź czujnego czyhającego szatana, który silnie oblega duszę nędznika!"

(O thou, eternel Mover of the heavens!
Look with a gentle eye upon this wretch!
O beat away the busy medling fiend,
That lays strong siege upon te wretches soul!)

U tłomacza zupełnie inaczej wyglądają słowa tej potężnej modlitwy:

O miłości wieczna,
Twej łaski promień spuść na niego! Szatan
Czyliż dobije duszę, w *której* serce
Z rozpaczy kona....

Nielepiej poczyna sobie autor w przepysznej scenie z aktu IV-go Ryszarda II, gdzie detronizowany król sam, choć niecałkiem dobrowolnie, pośród ciężkiej walki ze sobą, składa swą koronę w ręce następcy. Tłomacz grzeszy tu głównie wielomownością, która dodanemi bez potrzeby wyrazami osłabia potężną energią oryginału. Oto np. 5 wierszy oryginału:

With my own tears I wash away my balm;
With my own hand I giwe away my crown;
With my own tongne deny my sacred state;
With my own breath release all duteus oaths,
All pomp and majesty I do forswear

Dosłowny przekład: „własnemi łzami zmywam swe namaszczenie; własnemi rękami oddaję koronę; własnym językiem wyrzekam się poświęconej godności; własnym tchem zwalniam wszystkie przysięgi wierności; wyprzysięgam się wszelkiej wspaniałości i majestatu."

Tłomacz rozrabia to niepotrzebnemi dodatkami w następujący sposób (aż w 11 wierszach).

Oto korona, którą własną dłonią
Z mej namaszczonej skroni zdzieram. Dumę
Godności mojej *w serca głębi dławiąc* (!),
Łzami wywabiam *z bark mych* olej święty,
Znać więcej nie chcę mego dostojeństwa:
Własnemi usty mówię to i temiż
Z przysięgi waszej wszystkich was rozgrzeszam.
Słowem, całego dotychczasowego
Siebie i dóbr mych wszelkich się wyrzekam,
Wniwecz obracam wszystkie moje prawa,
Postanowienia i wyroki.

Jedynymi przedstawicielami muzy niemieckiej są dwie poezyjki Heinego i „Pożegnanie Hektora", jeden z najwcześniejszych utworów Szyllera, zaliczany przez wydawców do płodów „pierwszego okresu" twórczości poety. Ta błahostka przełożoną została dosyć wiernie jak to np. widać z porównania ostatniej strofy oryginału z tłomaczeniem.

All' mein Sehnen will ich, all' mein Denken
In des Lethe stillen Strom versenken,
Aber meine Liebe nicht!
Horch! Der wilde tobt schon an de Mauern,
Gürte mir das Schwert um, lass das Trauern!
Hektor's Liebe stirbt im Lethe nich!

W przekładzie:

Żądze moje, myśli wszelkie w *zbladłej*
Lety głębiach oby precz przepadły. —
Niech się tylko miłość moja święci!
Słyszysz? Dzicz już w bramy brzmi! Hej zbroja!
Miecz mój! Wierz mi, nie płacz! Miłość moja
Nie utonie w rzece niepamięci.

Szkoda, że tłomacz nie zachował podobnej wierności w utworach ważniejszych. Muza francuzka dostarczyła tłomaczowi ustępu z Musseta, jednej piosenki Bérangera, jednej piosenki z Kromwella Wiktora Hugo i ustępu z Legendy Wieków tegoż. Ten ostatni p. t. „Nieco pieśni" (W oryginale „Un peu de musique," Legende des Siécles Eviradnus XI) uważamy za przełożony najlepiej.

Dla porównania przytoczę dwie strofki:

Je suis ton maiître et ta proie;
Partons, c'est la fiu du jour;
Mon cheval sera la joie,
Ton cheval sera l'amour.

Nous ferons tueher leurs têtes;
Les voyages son aiseés;
Nous donnerons à ces bêtes
Une avoine des baisers.

W przekładzie p. Felicyana:

Jam pan twój, oraz pastwa *wszelaka;*
No w drogę, nim dzień zadrzymie!
Radość jest imię twego rumaka,
Mojemu miłość na imię.

Głowa przy głowie, pomkną jak z płatka,
W kraj cudów błoniem szerokiem,
A paść się będzie owa czeladka
Naszych całunków obrokiem.

Ostatnie wyrażenie uważamy za wyborne: tu różnica wierności oryginałowi od niewolniczego przekładu, gdyż „owies pocałunków", jak w oryginale, byłoby niesmacznem.

Na tem zakończę sprawozdanie o przekładach p. Felicyana.

Przy końcu osobno wytkniemy ważniejsze z dostrzeżonych błędów wysłowienia i nadużyć licencyi poetyckiej. Tak nie pochwalamy formy *Ceus* z niemieckiego wymawiania wyrazu *Zeus, Jowisz*) str. 1 i inne), ani takich form jak dnie, kark *przykłania* (str. 1). Prometeusz, syn Japeta (Japetides) nazwany Japetem (str. 2). Zamiast *sąsiadów* nie godzi się mówić *sąsiad* (w pośród *sąsiad* str. 2 i od własnych *sąsiad* str. 4). Nie zgadzamy się na liczbę mnogą podobnemi *zguby* (str. 4), ani na *gromki* strumień (str. 5). Łaciński wyraz *luna* (księżyc) nie może być po polsku przetłomaczony *miesięczna łuna* (str. 12), gdyż ten ostatni wyraz, choć niewątpliwie pokrewnego z łacińskim pierwiastku, w języku naszym oznacza jedynie *blask, odblask* (pożaru i t. d.). Za naciągany rym uważamy wyrazy *krąg* i *wprzągł* (str. 12). Niezwykłem jest także wyrażenie *człek bez plamy* (str. 13), a Herkulesa *chram* (str. 16) to rusycyzm. Forma *Lalagen*, która w oryginale jest przypadkiem 4 od przyp. 1-go *Lalage*, u tłomacza użyta jest wszędzie jako przypadek 1-szy („Lalagen słodka" str. 14). *Znać* zamiast *wiedzieć, dowiedzieć się* (str. 27) jest rusycyzmem, a *rozbrykać* nie może być użyte z przyp. 4 *cię*, jako słowo przechodnie (tamże) bo mamy tylko *rozbrykać się* (nieco trywialne). Znamy wyraz *zacisze*, ale nie ma wyrazu *zacisza*, od którego mogłoby pochodzić *w chłodnej zaciszy* (str. 64). Trywialnym nowotworem jest wyraz *kpiarz* (str. 60). Tłomacz używać lubi przysłówków przy przymiotnikach i imiesłowach niezawsze trafnie np. *znamienicie krzepiące (*str. 11) „*jak najmocniej* chyże" (str. 66), *nader niepowszedni*" (str. 79). Przymiotn. *rwisty* nie może mieć stopnia wyższego *rwistszy* (str. 97). Nie jest polskim wyraz *żertwy* (str. 141.

Szczupła to tylko wiązanka błędów, których podobnych więcej moglibyśmy naliczyć, gdyż pomimo wszelkich zalet przekładów p. Felicyana, przyznać z przykrością musimy, że z językiem poczyna sobie z czasem zbyt swobodnie i dowolnie.

L. S. W.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Nader ważną kwestyę egzaminów w gimnazyach poruszył dr. Karol Hertz, oto co pisze o tem.

„Mając sobie przedstawione zdania wszystkich rad pedagogicznych w całem państwie, najwyższa władza szkolna przyszła do przekonania: że dawniejsze przepisy egzaminacyjne *nietylko żadnych sprawie wychowania nie przynoszą korzyści, lecz są jeszcze szkodliwe, gdyż udaremniają wszelką naukę i postęp w gimnazyach.*

„Przyszedłszy do takiego przekonania, na wniosek ministra oświecenia, rada ministrów postanowiła zaprowadzić zasadnicze zmiany w egzaminach przejściowych i dojrzałości. A mianowicie:

1. Wypracowania piśmienne nie decydują o losie egzaminowanego, gdyż według nowych przepisów przy ocenianiu postępów ucznia, należy brać w rachubę odpowiedzi ustne ucznia i stopnie roczne.

Jest to zmiana kardynalna, gdyż według dawnych przepisów, uczeń, który na egzaminie piśmiennym otrzymał stopień niedostateczny, utra-

cał prawo do egzaminu ustnego, chociażby w ciągu roku był celującym.

2. Przy ocenianiu możności dopuszczania uczniów do egzaminów przejściowych, należy brać w rachubę: *stopnie za ostatni kwartał*, który powinien być wyrazem postępu i pilności ucznia w ciągu całego roku szkolnego, i *zdanie rady pedagogicznej, która bez względu na stopnie ucznia orzeka: czy uczeń może z korzyścią słuchać wykładów w klasie następnej*.

Dla ocenienia całej ważności tej zmiany, należy przypomnieć sobie odpowiednie ustępy dawniejszej ustawy, według których o dopuszczeniu uczniów do egzaminów decydował *stopień średni* otrzymany *mechanicznie* ze stopni czterech kwartałów, tak, że w wielu razach, uczeń który w pierwszym kwartale otrzymał stopień niedostateczny, nie mógł już mieć nadziei otrzymania promocyi. Zmiany wyżej przytoczone są niezmiernie ważne, gdyż rozwiązują ręce pedagogom, przedstawiając w miejsce działań mechanicznych rozumowania ludzi, dbających o szczęście i pomyślność dorastającego pokolenia.

Pozostaje teraz do życzenia, aby władza szkolna chciała jeszcze usunąć zbyteczne egzamina w niektórych klasach, które nietylko nie są potrzebne, ale trwając około sześciu tygodni, skracają i tak już krótki rok szkolny, w skutek czego wykładający nie mają czasu na powtarzanie kursów. Mamy niepłonną nadzieję, że nowy minister oświecenia uwzględni tę potrzebę, gdyż w swoim okólniku wyraźnie zapowiada dalsze zmiany w przepisach egzaminacyjnych.

+ Panna Belva Lockwood, kobieta-adwokat, mieszkająca w Washingtonie, uprawniana do obrony spraw we wszystkich tamtejszych sądach, stara się obecnie o dostojeństwo posła przy dworze brazylijskim. Oto jak motywuje swoją prośbę: „Nie lękam się ani żółtej febry, ani wojny, ani głodu, ani trzęsienia ziemi. Brazylja jest jeszcze jedyną monarchią na naszym kontynencie, a monarchie przypuszczały od najdawniejszych czasów kobiety do tronu i nadawały im wogólności w społeczeństwie stanowisko, niedopuszczając się małodusznej polityki niektórych rzekomych rzeczypospolitych. Na uzasadnienie mojego uzdolnienia do posady, przytaczam moją gruntowną znajomość interesów handlowych Stanów Zjednoczonych, znajomość prawa narodów, szczere usiłowania iżby wszystkie spory między narodami załatwiano drogą rozjemczych sądów, a nakoniec moją znajomość języka francuzkiego, obok postępów jakie robię w języku hiszpańskim."

A jeźli rzeczywiście tak gruntownie posiada nauki i wiadomości, jakie przytacza w podaniu, to gdyby wszystkim posłom i konsulom przyszło stanąć z nią do egzaminu, możeby niejeden nie wytrzymał współzawodnictwa.

+ Gazeta „N. Zeitung" podaje zajmujące szczegóły z życia rodzinnego dzisiejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Garfield'a.

Żona jego odebrała bardzo świetne wychowanie, a nadto posiada wrodzony dar nader uprzejmego obejścia i zajmującej rozmowy. Nie lubi przepychu i gwarnych uciech i całkiem oddana jest życiu domowemu. Jest bardzo piękna, wyniosłej postaci, ośm lat młodsza od męża. Sam prezydent jest także człowiekiem wysoko ukształconym i po za obrębem politycznej swojej działalności, zajmuje się studyami historycznemi i ekonomicznemi, matematyką, muzyką i tłomaczeniem dzieł klasycznych różnych narodów i w różnych językach. Uprawia z zamiłowaniem literaturę niemiecką, posiada gruntownie ten język i zna doskonale wszystkie nowsze naukowe i literackie dzieła niemieckie. Garfield jest pierwszym z prezydentów który 80-letnią matkę swoją sprowadził do „białego domu". Jest to czcigodna niewiasta, wdowa po dzierżawcy, i pomimo tak późnej starości zachowała dotąd młodzieńczą rzeźkość. Zostawszy wdową, musiała ciężko pracować aby módz dobrze i starannie wychować dzieci; wdzięczny syn otacza ją też najgłębszą czcią i miłością, szanuje jej wolę jak wtedy gdy był małem dzieckiem. Przy stole sędziwa staruszka zajmuje zawsze najpierwsze miejsce, i choćby znajdowali się najznakomitsi goście, od niej zaczynają podawać półmiski. Dziś zajmuje ona w „białym domku" obok mieszkania syna piękny apartament, którego przepych nieraz pewnie przypomina jej ubiegłą przeszłość gdy mieszkając w ubogiej chacie, sama dla dzieci swoich gotowała i prała. Prezydent Garfield ma pięcioro dzieci: czterech synów i córkę; stracił dwoje dzieci. Najstarszy syn, Harry, ma rok 16, Iim 14, śliczna córeczka Molly 13, a najmłodszy synek, Abraham 8 lat.

+ Wiadomo że koronacya króla rumuńskiego, odbyła się z wszelką możliwą w Rumunii wystawnością i przepychem, wśród wielkiego napływu uradowanej ludności — ale zakończenie jej było bardzo niefortunne, które przesądni tłomaczą sobie jako złą wróżbę dla nowokreowanego króla. Oddział artyleryi miał sobie powierzone spalenie ogni sztucznych wieczorem, w niedzielę, w dniu koronacyi księcia Karola. Składowe części pirotechnicznego „arcydzieła" rozłożono dla osuszenia pod gołem niebem, na błoniach Kotroczeni. Gdy około 6-ej wieczorem zerwała się burza, wydano rozkaz przeniesienia rzeczonych przedmiotów do krytego baraku. Odkomenderowany w tym celu oddział, złożony z sześciu żołnierzy i z podoficera, zamiast ostrożnie układać na ziemi kawałki palnych materyi, rzucał je silnie, w skutek czego zapaliły się i nastąpił straszny wybuch. Gdy rozproszyła się gęsta mgła dymu, okropny przedstawił się widok. Z żołnierzy i podoficera pozostały tylko porozrywane krwawe szczątki, leżące wpośród kawałków wysadzonego baraku.

+ Sławny uczony, profesor Tyndall, w wielkiej sali Instytutu politechnicznego w Londynie, na posiedzeniu królewskiego towarzystwa naukowego robił doświadczenia z tak zwaną harmoniką fizyczną na olbrzymią skalę. Wiadomo z fizyki i chemii, że płomień gazu wodorodowego, wychodzący z rurki z cienkim otworem, wprowadzony w cylinder szklanny pewnej długości, wydaje mniej więcej silny dźwięk, którego wysokość zależy od średnicy i długości cylindra — a mianowicie, im dłuższy cylinder, tem ton niższy i silniejszy. Profesor Tyndall użył tym razem rury na siedm metrów długiej, i drżenie kolumny powietrza spowodowane przez płomień gazu wpuszczony w tę kolosalną rurę, było tak silne, że podłoga, słupy, galerye olbrzymiej sali i ławki z 500 przeszło widzami drżały tak silnie, iż kilka pań zemdlało z przestrachu. Uczony profesor zapewnia, że za pomocą rury 10-metrowej możnaby bez trudności spowodować zawalenie się murów gmachu Instytutowego. Siedmiometrowa tuba daje ton niezmiernie nizki, oznaczony w muzyce *Kontra fa*. Wobec takich dotykalnych faktów i niewątpliwych wskazówek, że w nader nieznanie odległej starożytności, znane były różne właściwości fizyczne, które tegoczesna nauka nanowo odkrywa, możnaby sobie łatwo wytłomaczyć upadek murów Jerycha od samego odgłosu trąb oblegających to miasto nieprzyjaciół.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Od Redakcyi.

W kwartale trzecim r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 30 Мая 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 25 r. 1881.

HISTORYA PEWNEJ PARYŻANKI,

przez

Oktawiusza Feuillet,

Członka Akademii francuzkiej.

Przekład

J. BELEJOWSKIEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dokończenie).

Chłopak podał mu list. Swieżo zalepiona koperta była jeszcze zupełnie wilgotna, nie potrzebował więc rozdzierać jej dla otwarcia.

W kopercie znajdował się list pana de Sontis, który pani de Maurescamp zwracała mu, napisawszy na nim odpowiedź.

Pod temi kilku wyrazami kapitana:

„Bądź pani spokojna; przez miłość dla ciebie będę względnym dla niego"

Pani de Maurescamp napisała tylko:

„Proszę, nie krępuj się pan niczem."

Przeczytawszy, baron de Maurescemp. wsunął bilet w kopertę, zalepił i oddał chłopcu, który w dalszą poszedł drogę.

XVI.

W półtory godziny później pojedynek odbył się w sąsiednim lasku; pan de Maurescamp odniósł głęboką ranę w piersi.

Długo zdawało się że z niej nie wyjdzie, gdyż płuca były dotknięte — ocalenie swoje zawdzięczał nadzwyczaj silnemu organizmowi. Ale nigdy nie odzyskał dawnego zdrowia, pozostał słabowity, znękany i niespokojny.

Zdawał się wierzyć i podzielać zdanie najpobłażliwszej części publiczności, że w całej tej sprawie z kapitanem de Sontis żona o tyle była winną, iż wypiła za wiele kieliszków Santerne'u i zaczęła palić tak mocne cygaro iż do reszty odebrało jej przytomność. Mogli więc żyć z sobą nadal, a nawet okazywał teraz żonie pewną pełną rezygnacyi i pokory uległość, nader zadziwiającą ze względu jego wybuchliwości i zarozumienia.

Ale co prawda charakter żony jego zmienił się najzupełniej; musiał więc być zadowolniony ze swego dzieła. Joanna nie jest już wcale romantyczną; nigdy nie czytuje Tennyson'a. Od chwili gdy zabito jej wspólnika ideału, ideał przestał istnieć dla niej. Z początku, tylko przez mściwe szyderstwo, przybrała ton i obejście kobiety zmysłowej, pragnącej jedynie ruchu, wrzawy i rozkoszy, ale powoli tak umiłowała odgrywaną rolę, iż zamieniła jej się w naturę.

Zimna, szyderska, żądna światowych rozkoszy, nadzwyczaj zalotna, obojętna na wszystko i nie kochająca nikogo, od niedawnej śmierci matki, jedno tylko poczciwe zachowała uczucie, którym wiedziona trzy razy na tydzień przybywa odwiedzać starą sparaliżowaną i zdziecinniałą kobietę—hrabinę de Lerne.

Nie mamy nic więcej do powiedzenia o Joannie de Latour-Mesnil, baronowej de Maurescamp. Zarówno jak czytelników i nas przestała zajmować, od chwili jej ohydnej odpowiedzi na bilet pana de Sontis, przekonywającej nas że ów anioł zamienił się w potwór.

Ostatniem słowem tej prawdziwej historyi jest, że w porządku moralnym nie rodzą się potwory: Bóg ich nie stwarza, ale wytwarzają ich ludzie, brak prawdziwej religii, powierzchowne wychowanie i złe towarzystwa. Niech matki nie zapominają o tem.

KONIEC.

RENATA.

Przez

STEFANA MARCEL.

I.

Notarjusz i dyplomata.

Tak w okolicach miasteczka Kergoat, jak we wszystkich wsiach i wioseczkach tej malowniczej części Finisteru, która ciągnie się falisto ku morzu począwszy od ostatnich stoków posępnych gór Arrec, nie było człowieka tak powszechnie znanego jak Wilhelm Mercier notarjusz w Kergoat; zdaleka już poznawano jego kabryolecik i siwego konia. Dziwiono się że można go było spotkać codzień jadącego w tę lub ową stronę, gdy według ogólnego zdania, powinienby zajmować się sporządzaniem rozmaitych aktów i oczekiwać na klientów w swej kancelaryi.

Ale Mercier nie podzielał tego zdania; według niego, każdy biegły i rozumny notaryusz powinien widzieć w swojem powołaniu dwie całkiem różne części: jedną czysto materyalną i machinalną, z której jego dependenci wywiązać się mogą; drugą umysłową, nie mającą styczności z zajęciem urzędowem, poniekąd psychologiczną, którą powinien zachować wyłącznie dla siebie, jeżeli rozumie dobrze obowiązki przywiązane do swego urzędu. To właśnie było najtrudniejszem, ale też przynosiło najwięcej chwały... a nadewszystko najwięcej korzyści byłby dodał Mercier, gdyby chciał być szczerym. „Kto nie jest ciekawym i cierpliwym, powtarzał często, nie powinien zostawać notaryuszem." Otóż ciekawość Merciera dochodziła do najwyższego stopnia, chociaż trudno było domyśléć się tego, patrząc na jego twarz spokojną i dobroduszną, a dalsze opowiadanie przekona że posiadał także wiele cierpliwości.

Dzięki swej ciekawości, Mercier znał wszelkie drobne i wielkie tajemnice w całej okolicy; i nie dziw, pracował nad tem piętnaście lat, to jest od dnia, w którym otworzył swą kancelaryę, cieszącą się obecnie największem w tych stronach powodzeniem. Zdrów, silny, czynny i wytrwały, bywał na wszystkich radach familijnych, posiedzeniach trybunału i sądu pokoju, w kancelaryi mera, nie opuścił żadnego ślubu, pogrzebu, odpustu lub jarmarku, a wszędzie umiał przybrać właściwe obejście, przemawiać stosownym językiem. W karczmie częstował hojnie, jeżeli mu to było potrzebne do osięgnięcia jakiegoś celu; wchodząc do pałacu, kłaniał się wszystkim pokornie. W ciągu tych nieustannych a korzystnych wycieczek, zbierał najważniejsze i najpewniejsze wiadomości, a wieczorem gdy już dependenci wyszli z kancelaryi, dzieci spały, a cicha i pokorna pani Mercier, siedząc w ich pokoju, robiła pończochę przy świetle lampki nocnej, wzdychając często, nataryusz zasiadał w swym gabinecie i przywodził sobie na pamięć wszystko czego się w ciągu dnia dowiedział. Wtenczas to roztrząsał postępowanie tych wszystkich, których interesa prowadził, zapuszczał śmiało wzrok po za atmosferę zbytku otaczającą jednych, odchylał maskę surowej cnoty zasłaniającą twarz innych, a następnie wyciągał z tego prawie zawsze nieomylne wnioski, co do położenia, stanu, majątku i przyszłości czekającej te osoby, oraz jakie to jemu może przyniéść korzy-

ści, i czego potrzebuje się obawiać. Mercier nie wierzył aby coś mogło być dziełem wypadków. Czy wierzył tak dalece w istnienie Boga?... Na to możemy tylko odpowiedzieć, że najczęściej i nadewszystko wierzył w siebie samego. Stosownie do swych wniosków i przypuszczeń układał plany na przyszłość, obmyślał co mu dalej czynić wypada, a ponieważ posiadał zarazem pieniądze, zręczność, cierpliwość i umiał milczéć, rzadko kiedy doznawał zawodu.

Pomimo to Mercier był ogólnie szanowanym i lubionym; ale czy mogło być inaczej? Zdawał się tak dobrodusznym, był tak grzecznym dla niższych od siebie, tak pokornym dla wyższych, tak serdecznym i otwartym z równymi sobie. A jakże był uprzejmym dla swych gości,—zwłaszcza dla tych, od których spodziewał się dowiedziéć czegoś; w takim razie biegł sam do piwnicy i przynosił z niej tak dobre wino w butelkach opatrzonych zieloną pieczątką. Prócz tego tak łatwo pożyczył każdemu jakąś drobną sumkę, nie wyjmując tych nawet, od których trudno było odebrać, ale którzy tym lub owym sposobem chętnie lub mimo chęci, zwracali mu w końcu kapitał powiększony wysokim procentem. Nakoniec jeżeli sam jechał w swym kabriolecie, tak uprzejmie zapraszał do niego każdego, kogo spotkał na drodze, i to jedynie dla przyjemności korzystania z jego towarzystwa i rozmowy.

To właśnie przy końcu kwietnia 185... roku przyszło na myśl znużonemu przechodniowi, idącemu drogą z Lesneven do Kergoat, który zamierzał usiąść w cieniu wielkiej topoli, ale zatrzymał się posłyszawszy za sobą turkot kół jakiegoś powozu.

— Kabryolecik pana Mercier! zawołał ucieszony. Wybornie! to człowiek tak uczynny, że jeżeli tylko sam jedzie, zabierze mnie chętnie z sobą.

Przechodzień zatrzymał się więc; kabryolet nadjechał wkrótce, siwy konik stanął, a z powoziku wysunęła się rumiana i wesoła twarz pana Mercier.

— A! to ty, panie pisarzu? zawołał notaryusz. Cóż tu robisz na środku drogi?

— Jestem zmęczony, i prawdę mówiąc, czekałem na pana.

— Bardzo mnie to cieszy, panie Lefevre: postąpiłeś jak prawdziwy przyjaciel. Lubię, skoro ktoś postępuje ze mną otwarcie; nie cierpię tych wszystkich ceremonii... Siadaj, proszę cię.

Pisarz wskoczył do powoziku, a Mercier ścisnął go silnie za rękę i plasnął głośno językiem.

Siwy ruszył natychmiast z miejsca, a w powoziku rozpoczęto zaraz rozmowę nie zważając na turkot kół i brzęczenie drobnych grzechotek przy uprzęży.

— Zkądże to wracasz tak późno, panie Lefevre? Zapewnie interesa nie dają ci chwili spoczynku, i równie jak mnie wypędzają z domu! odezwał się Mercier, zwracając na towarzysza swe siwe, bystre i iskrzące się ciekawością oczki.

— Zgadłeś pan; wracam z trybunału. Sukcesorowie Mauriel'a porozumieli się nakoniec co do podziału odziedziczonej przez nich posiadłości.

— To znaczy, że Grandes-Bruyères podzielono na cztery części, powiedział obojętnie notaryusz, przyglądając się uważnie trochę uszkodzonej rękojeści swego bicza, to jest: na część Jana Mathieu Józefa Henri, sukcesorów Franciszka Germain, i nakoniec wdowy Magloire... Ale cóż czynić! byle tylko obecni właściciele byli szczęśliwi w swych nowych posiadłościach i zatrzymali jak najdłużej w ręku tak piękne kawałki ziemi.

— Ho! ho! panie Mercier, przerwał Lefevre, mówisz tak jakbyś nie wiedział o niczem. Wszakże Franciszek Germain pozostawił znaczne długi, Jan Mathieu często od ciebie pożycza pieniędzy, a ta szalona Genowefa Magloire, zamierza powtórnie iść za mąż, za chłopaka młodego i nie mającego ani grosza... Prawdopodobnie, jeden tylko Józef Henri potrafi nie tylko utrzymać ale i powiększyć swą cząstkę. Mówiono mi właśnie, że porozumiał się już listownie z margrabią Plouernel, i kupuje od niego spory kawał gruntu zarosłego łoziną oraz dwie morgi lasu zakończającego park i graniczącego z Grandes-Bruyères.

Notaryusz, który dotąd patrzył spokojnie przed siebie, zadrżał nagle i spojrzał na sąsiada tak przenikliwym, tak gniewnym wzrokiem, że Lefevre zadziwiony tak niezwykłem u niego wyrazem twarzy, nie mógł pojąć co mu się stało.

— Opowiadasz mi jakieś śmieszne i niedorzeczne bajki, rozpuszczone dla zabawy próżniaków, rzekł notaryusz po chwili, ale już spokojnie. Jakże pan margrabia mógłby uczynić coś podobnego nie zawezwawszy mnie, który już tak dawno zajmuję się jego interesami?

— Ha! na to nie umiem odpowiedzieć. Zdarzają się jednak wypadki że ktoś nie wzywa notaryusza... dla uniknięcia kosztów.

— Nie, to być nie może! Oszukać swego notaryusza, to uszłoby jeszcze, ale zaszkodzić swoim własnym interesom, uszczuplać swoje mienie, oddać w obce ręce część swego parku, to już byłoby zawiele! Aby uczynić coś podobnego, trzeba być warjatem, niedołęgą...

— O! to znów zawiele. Trzeba poprostu potrzebować pieniędzy, przerwał spokojnie pisarz. A pan najlepiej wie o tem, że pan margrabia przed ożenieniem wyrzucał pieniądze obydwiema rękami; ustatkował się trochę po ożenieniu, ale na nieszczęście zbyt prędko stracił żonę. Teraz, jako wdowiec, prowadzi jeszcze wystawniejsze życie, jeszcze więcej wydaje pieniędzy... a wszystko wyczerpuje się w końcu. Wiemy, że te wielkie dobra są trochę... nawet bardzo zadłużone.. cóż więc dziwnego, że pan de Plouernel potrzebując na coś pieniędzy, lub chcąc spłacić dług jakiś, sprzedał kawałek ziemi temu przebiegłemu Józefowi Henri?

— Raz jeszcze powtarzam, że nie mogę temu wierzyć.... Wszystkie podobne interesa pana de Plouernel bywają załatwiane w mojej kancelaryi.... Więc pan margrabia mógłby mnie pominąć, oszukać mnie! zawołał głosem podobnym do przytłumionego ryku. Ale to być nie może, odezwał się po chwili już spokojniej; pan de Plouernel nie może być tak nierozsądnym, aby mógł sprzedawać po kawałku swoje dobra, wszakże ma dzieci; nie uczyniłby nic podobnego bez wiedzy matki. Będzie musiał kiedyś wyposażyć córkę, zostawić majątek synowi. Wierz mi, panie Lefevre, nie tak to łatwo zapomnieć o zapewnieniu przyszłości dzieciom; wiem o tem z własnego doświadczenia.

— Tak panie Mercier, nie wątpię też że twoje dzieci będą szczęśliwe, dzięki twej zabiegliwości; ale nie możesz zaprzeczéć, że nie raz już widziano dzieci doprowadzone do niedostatku, nawet do nędzy, przez szaloną rozrzutność ojców, i że rady najlepszej, najzacniejszej matki często nie wywierają wpływu na postępowanie czterdziestoletniego syna.

— Jednakże dobra pana margrabiego są tak rozległe, tak piękne! odezwał się znów Mercier głosem tak wzruszonym, jakby serce podyktowało mu te słowa. Patrz, dojeżdżamy właśnie do Grand-Champ, gdzie się rodzi najpiękniejsza pszenica w tych okolicach. Spojrzyj tylko jak rośnie gęsto i bujnie! A tam, za murem otaczającym park, jakie grube i rozłożyste drzewa! Dęby pamiętające zapewnie króla Henryka, olbrzymie sosny, które przyniosłyby piękną sumkę, gdyby je ścięto i dostawiono do Brestu, do warsztatów morskich... A! jakież to piękne, jakie wielkie dobra! jaka to błogosławiona ziemia!

Mowiąc to, spoglądał na zielone pola i drzewa z wyrazem najgłębszego zachwytu, i zdawał się zapominać zupełnie o obecności swego towarzysza.

Rzeczywiście, około drogi, za szerokim rowem, ciągnął się mur od parku tak daleko jak tylko można było zasięgnąć okiem. Mur był gruby, wysoki, uwieńczony mchem podobnym do zielonego aksamitu. Miejscami były pięknie wyrobione żelazne bramy, a na kamiennych słupach koło nich wielkie, rzeźbione herby; ale prócz tego znajdowały się inne jeszcze przejścia, lecz niestety! nie wypobione już ręką ludzką, smutne, powyszczerbiane, sprawiające przykre wrażenie. Cegiełka odpadała po cegiełce, a nie myślano o tem, aby mur wzmocnić; zdawało się, że wkrótce cały rozsypie się w gruzy.

Ale po za tym rozpadającym się murem jakież piękne, wielkie, rozłożyste lub wysmukłe drzewa! jakie długie i szerokie ulice, a koło nich gaiki z wierzb płaczących, lub brzóz przybranych w białe sukienki; jak pięknie wyglądają te głogi obsypane różowym kwiatem, tulące się koło rozłożystych dębów pokrytych kształtnemi liśćmi. A jak cudowną woń rozsiewają dokoła fijołki, rozrzucone gęsto na kobiercu utkanym z miękkiej i świeżej trawki; co za rozkoszne dźwięki rozchodzą się z gniazdek kołyszących się na gałęziach; ileż to sarn i jeleni snuje się wśród gęstwiny!... Jednak, przechodzień podziwiający wielkość i wspaniałość tego parku, doznawał przykrego wrażenia, widząc go tak pustym, samotnym, jakby nie było nikogo takiego, coby chciał lub mógł korzystać z jego piękności.

Jakkolwiek trudno byłoby przypuścić, że aż nazbyt praktyczny pan Mercier był zdolnym czuć i ocenić piękność natury, jednak patrząc na park, przerwał rozmowę, i wpadł w głębokie zadumanie, w ciągu którego odzywał się tylko niekiedy, może nie wiedząc nawet o tem: Jakież to pyszne dęby! Co za wspaniały pałac! Trudno byłoby znaleźć coś równie pięknego!"

— Nie, nie, odezwał się nakoniec z westchnieniem, pan margrabia nie może być tak bardzo ograniczonym.

— Zdaje się, że w każdym razie tak pan jak inne życzliwe osoby, zdołają odwieść margrabiego od tego zamiaru, odpowiedział śpiesznie pisarz, znudzony tak długiem milczeniem. Ale patrz pan, wszakże to matka jego wyszła z parku i zbliża się ku nam.

W istocie otworzono furtkę w murze, i ukazała się na drodze kobieta w żałobie, wysoka i szczupła, której ruchy odznaczały się szlachetnością i powagą. Notaryusz i pisarz przejeżdżając koło niej skłonili się grzecznie, ale najlżejszy nawet odcień uśmiechu nie rozjaśnił jej twarzy przysłoniętej gęstym czarnym woalem, przez który można było dostrzedz śnieżnej białości włosy i ciemne oczy, niegdyś pełne ognia, a dziś z powodu ciągłych łez pozbawione już blasku.

Kabryolet pojechał dalej, a margrabina szła wolnym krokiem w przeciwną stronę, trzymając w ręku różaniec i książkę do nabożeństwa. Spoglądała ze smutkiem na roztaczające się przed nią pola, łąki i lasy.

— Idzie, jak widać do kościoła, odezwał się Lefevre. Biedna kobieta! zawsze tak smutna i przygnębiona; nie może dotąd uspokoić się po śmierci synowej, osoby tak ładnej i miłej, a zmarłej w dwudziestym piątym roku życia.... Nie wiem dopra-

wdy, czemu margrabia nie zostawił przy niej dzieci; nie byłaby przynajmniej tak samotną zawsze.

— Przyjeżdżają do niej w lecie, na wakacye, że zaś zabrał je z sobą, jest to dowodem, że margrabia posiada jeszcze trochę rozsądku. Dla małej Renaty nie byłoby to jeszcze tak szkodliwem, ale czegóżby mógł się nauczyć syn, przyszły margrabia Plouernel, chowając się przy babuni, w samotnym pałacu w głębi Bretanii? Nie, nie, panie Lefevre, dla tego pięknego i dziarskiego Gwidona potrzeba czegoś więcej; potomek starożytnego rodu powinien od dziecka żyć w wielkim świecie, przejąć jego zwyczaje, nabrać odpowiednie ułożenie i odebrać wykształcenie, jakie tylko w Paryżu nabyć można. Pan margrabia zatrzymując go przy sobie, postępuje jak dobry i roztropny ojciec... Na cożby się to zdało, gdyby mu dozwolił tracić czas na bieganiu po polu, służeniu do mszy i odmawianiu z babką różańca?

— Już to widać ze wszystkiego, panie Mercier, że jesteś bardzo życzliwym dla pana Plouernel... Tak cię to wszystko obchodzi, jak gdybyś należał do rodziny... Ale bądź co bądź, ten przyszły margrabia jest jeszcze bardzo mały; zapewnie nie liczy więcej nad ośm lat.

— Pan Gwidon skończył dziewięć, a mała Renata, jego siostra, kończy jedenaście. Ale czy to już w tym wieku nie można nabrać ruchów chłopskich, lub ułożenia prawdziwie pańskiego. Jestem pewny, że pan Gwidon będzie kiedyś prawdziwą ozdobą arystokratycznych salonów... jaka to bystrość umysłu, jaki dowcip, odwaga, żywość, jak w nim już teraz znać szlachcica!... A prócz tego, mój Boże! jakie śliczne dobra, jaka ziemia, jakie drzewa!

Lefevre słuchał z pewnem zadziwieniem tych pochwał wypowiedzianych z takim zapałem, a następnie nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc, że towarzysz jego wpadł powtórnie w głębokie zamyślenie, które teraz jednak nie trwało już tak długo, bo kabryolet wjechał w główną ulicę miasteczka, a Siwy zatrzymał się sam przez się przed sztachetkami pomalowanemi na zielono. Służąca, tęga wiejska dziewczyna wybiegła natychmiast, aby odprowadzić kabryolet i wyprządz konia. Notaryusz i Lefevre wysiedli, ścisnęli się na pożegnanie za ręce po czem pisarz oddalił się, a Mercier wszedł do domu przez mały kwiatowy ogródek. We drzwiach spotkał się ze swemi dziećmi, Alfredem i Meliną, które przybiegły śpiesznie, sądząc, że zdążą jeszcze pogłaskać Siwego, zanim go odprowadzą do stajni. Biedne dzieci trochę spłoszone tem spotkaniem, wybąkały nieśmiało „dobry dzień tatce", wyciągając ku niemu różowe buzie otoczone trochę potarganemi włosami. Ale zdawało się, że ojciec nie słyszał ich wcale, bo tylko mrucząc coś, wstrząsnął głową, uderzył nogą w podłogę i zawołał grzmiącym głosem:

— Antosiu! Antosiu!

Pani Mercier ukazała się natychmiast w sieni. Była to drobna i lękliwa blondynka, z regularnemi rysami twarzy, która musiała być kiedyś ładna, ale zbyt wcześnie straciła młodość i świeżość, jak rośliny pozbawione słońca, które jeszcze przed nadejściem zimy żółkną i więdnieją.

Przybiegła na wezwanie męża, uśmiechając się nieśmiało, ale uśmiech ten znikł natychmiast, gdy zobaczyła, że jest rozgniewany, i gdy zapytał groźnym głosem.

— Gdzie oni byli? Czy kto widział kiedy dzieci równie zaniedbane? Alfred ma znowu nos przedrapany i guz na czole; widać, że się bił z chłopakami na ulicy. Szkaradny chłopcze, czy nie rozumiesz jeszcze tego, że twoje miejsce nie jest przy studni z ulicznikami, ale w twem pokoju, przy książkach, rysunku, skrzypcach, albo też na spacerze, jadąc na kucyku, którego kupiłem dla ciebie?... A Melina!... jak można było pozwolić na to, aby taka sześcioletnia dziecina wchodziła do kuchni, i tak poczerniła sobie twarz a zamączyła ręce!... Pfe! pani Mercier, jesteś niedbałą matką: nie w taki sposób wychowuje się dzieci obdarzone taką piękną powierzchownością i takiemi zdolnościami, i któreby mogły kiedyś!... kiedyś!... przynosić nam zaszczyt.

Odepchnął od siebie dzieci, które drżąc, przytuliły się do matki, wbiegł do swego gabinetu i zatrzasnął drzwi za sobą. Przestępcy pozostali w sieni, nie śmieli poruszyć się z miejsca. Alfred tarł machinalnie czoło, jakby chciał guz na nim wygładzić; Melina drżąca i zaczerwieniona, wyciągała do matki z miną zakłopotaną, tłuste rączęta, które widocznie musiała wsunąć w mąkę, a biedna pani Mercier wstrząsała głową z wyrazem smutku i zniechęcenia.

Duma rodzicielska nie zaślepiała pana Mercier, kiedy przed chwilą wyrażał się tak korzystnie o swych dzieciach, rzeczywiście, nietylko że były ładne, ale posiadały jeszcze wiele wdzięku i wrodzonej dystynkcyi. Wielkie czarne iskrzące oczy Alfreda i ciemne wijące się naturalnie włosy, kazały się w nim domyślać wielkiego psotnika; co zaś do Meliny, ta była prawdziwie zachwycającem dzieckiem. Wielkie, łagodne szafirowe oczy, włosy połyskające jak złoto, a miękkie jak jedwab, twarzyczka okrągła, biała jak śnieg, ożywiona ślicznym rumieńcem, rączęta zgrabne i pulchne. Prócz tego Melina, czyli jak ją zwykle nazywano Lineta, była bardzo łagodna i lękliwa, dlatego też teraz czując, że naprawdę zawiniła, naruszając czystość rączek i sukienki, spuściła zawstydzona główkę i byłaby się zapewnie rozpłakała, gdyby stara służąca Franciszka, którą gniewny głos pana wywołał także do sieni, nie wzięła jej na ręce i nie uspokoiła, okrywając pocałunkami, jak to zwykle w podobnym razie czyniła.

— Nie wiem doprawdy, co sobie pan myśli, mruczała z tą poufałością właściwą starym sługom. Czy sobie wyobraża, że ta śliczniutka dziecina pójdzie kiedyś za jakiego księcia i nie będzie nigdy potrzebowała dotknąć się ciasta, ani wejść do kuchni? Jest przecie miliony ludzi, którzy robią to zawsze, i nie uważają sobie tego za nieszczęście.

— Cicho! Franciszko, cicho!... Gdyby cię pan usłyszał! szepnęła pani Mercier, spoglądając z trwogą w koło siebie. Następnie, dla większego bezpieczeństwa, oddaliła się, uprowadzając z sobą dzieci i służącą.

Ale Mercier był zbyt zajęty, aby mógł coś usłyszeć. Zdawało się, że zapomniał o wszystkiem, skoro tylko wszedł do swego gabinetu. Chodził po nim wolno, głęboko zamyślony; niekiedy marszczył brwi, a wtenczas siwe jego oczy rzucały błyskawice dozwalające zajrzeć w głąb jego duszy.

— Jeżeli pan Plouernel uczynił to bez mej wiedzy, zawołał nakoniec, nigdy mu tego nie przebaczę. Niech się strzeże! Jak może rozporządzać tak lekkomyślnie temi dobrami... *mojemi* dobrami... bo jestem pewnym, że kiedyś będą moją własnością. On się tego nie domyśla, ten nierozważny, ten pyszny arystokrata, a jednak powinienby drżeć z obawy. Posiadam pieniądze, a zatem siłę, prócz tego cierpliwość i silną wolę... A! gdyby wiedział, że wykupiłem wszystkie jego rewersa, że przyjąłem na siebie wszystkie długi obciążające hypotykę dóbr jego!... Ale ba! nie przypuszcza nawet tego, i skoro nadejdzie pora polowania, przyjdzie znów do mnie, i będzie prosił, klepiąc mnie po ramieniu abym mu ułatwił nową pożyczkę.... Tak, tak, panie margrabio, Mercier jest rzeczywiście, jak się wyrażasz, bardzo usłużnym, ale przedewszystkiem jest dobrym ojcem, i więcej niżeli ty troszczy się o przyszłość swych dzieci.

Zbliżył się do biórka, otworzył szufladę, od której klucz nosił zawsze w kieszeni, i spojrzał w nią z wyrazem radości, dumy chciwości i tryumfu; następnie wyjął paczkę papierów, rozłożył je przed sobą, i zaczął przeglądać z jakimś prawie dzikim uśmiechem.

— Nie napróżno pracowałem przez tyle lat, odezwał się znowu. Mam dwieście tysięcy franków na dobrach i mnóstwo rewersów na większe i mniejsze sumy... Czyni to razem, panie margrabio, trzysta tysięcy franków długu... Jeźli nadejdzie jakaś nieprzewidziana klęska, wtenczas wszystko runie, a dobra przejdą w moje ręce, jest to rzecz równie pewna, równie nieomylna, jak to, że jest Bóg!... Bóg! powtórzył Mercier i zadrżał lekko. Bogu, któryby chciał wglądać w to, co się tu dzieje, może to co czynię, nie wydałoby się zupełnie prawem i czystem... Ale czemuż mnie tak kuszą te śliczne dobra? czemu nie mogę nawet spojrzeć na nie, aby się zaraz w mem sercu nie odezwało pragnienie, a w głowie myśl zagarnięcia ich dla siebie? Zresztą pan de Plouernel straci je z pewnością, skoro jest tak rozrzutnym, a jeźli ja nie skorzystam z tego, to inni je zabiorą, może rozdrobnią na cząstki.... Wszakże kilka lat temu, ostrzegałem margrabiego, nie szczędziłem mu dobrej, zdrowej rady... Nie chciał mnie słuchać. A zresztą... jeżeli tylko moje plany zostaną urzeczywistnione, spadkobiercy, a przynajmniej Gwido, nie straciliby na tem. Co do małej Renaty, służący z pałacu mówią, że teraz już jest bardzo pobożna, zapewnie więc później wstąpi do klasztoru... i postąpi bardzo rozumnie, jeżeli nie będzie miała posagu.... Moja śliczna Melina zdaje się stworzoną na to, aby żyć w pałacu! Nie, nie, nigdy jej nie wydam za takiego prostaka jak naprzykład pierwszy mój dependent, albo synowiec poborcy, lub syn tutejszego kupca korzennego... Prócz tego, skoro zostanę właścicielem dóbr, radcą jeneralnym i... kto wie, może czemś więcej jeszcze?

Nasunęła mu się nagle myśl niepokojąca, i pochylił siwiejącą głowę z wyrazem zniechęcenia.

— Niestety! jestem daleko starszy od pana de Plouernel; mam już pięćdziesiąt lat... Tak, ale prowadzę życie umiarkowane, nie bywam na balach, nie wydaję obiadów. Mówią, że praca i wstrzemięźliwość przedłuża życie; pierwszej nie brak mi nigdy, drugiej staram się nie przekraczać wcale... Jednak muszę odtąd pić jeszcze mniej wina przy obiedzie.

Biedny Mercier! gdyby umiał tłumić w sobie chciwość, mógłby być człowiekiem rozumnym, uczciwym i szczęśliwym! Jednak, pomimo że wiele obecnie można mu było zarzucić, los, który często sprzyja ludziom zręcznym, śmiałym i wytrwałym, nie kazał mu czekać długo na urzeczywistnienie jego nadziei. Zaledwie miesiąc upłynął od dnia, w którym poznaliśmy notaryusza, gdy ten odebrał z Paryża list z czarną pieczęcią, który zrobił na nim tak silne wrażenie, że krzyknął i podskoczył w górę wprawiając tem w najgłębsze zdumienie swych dependentów, nie wiedzących co mu się stało. Jednocześnie, w pokoju jadalnym pani Mercier przeglądała ostatni numer gazety, robiąc skarpetkę, i przeczytała wiadomość tak niespodziewaną i przerażającą, że złożyła ręce z wyrazem szczerego politowania i upuściła dziennik na ziemię.

II.

Sieroty.

W liście Babtysty, kamerdynera margrabiego de Plouernel, pisanym wśród zamieszania i smutku panującego w pałacu przy ulicy Świętego-Dominika, i w artykule, który sprawił tak przykre wrażenie na dobrej pani Mercier, znajdował się treściwy opis smutnego wypadku:

„Jedna z najdawniejszych i najznakomitszych rodzin w naszym departamencie została pogrążoną w ciężkim smutku, z powodu strasznego wypadku, jaki spotkał margrabiego de P***, na wyścigach w Versalu. Pan margrabia P***, którego paryzka *fashion* uważała za jednego ze swych najwięcej odznaczających się członków i najlepszych, najodważniejszych *sportsmenen'ów* należał w zeszłą środę do wielkiego *steeple-chase gentelmen'ów riders* na swym ślicznym arabskim koniu, *Selimie-Paszy*. Nieszczęściem koń, który już znacznie wyprzedził swych współzawodników, uderzył przedniemi nogami o wierzch płotu, który przeskakiwał, upadł i pociągnął za sobą jeźdźca. Gdy liczni świadkowie tego wypadku przybiegli na ratunek margrabiego, spostrzegli z przerażeniem, że czaszka jego była silnie uszkodzona, i że stracił zupełnie przytomność. Przewidywano zaraz nieszczęśne skutki wypadku, i rzeczywiście, w kilka godzin później margrabia de P***, pomimo śpiesznego i troskliwego ratunku, zakończył życie w najbliższym hotelu, do którego został przeniesionym tymczasowo. Jesteśmy pewni, że wszyscy nasi współobywatele przyjmą szczery udział w ciężkiej boleści rodziny, która ponosi nową i tak dotkliwą stratę, zanim zdołała ochłonąć ze smutku po śmierci młodej i pięknej margrabiny de P***, zmarłej kilka lat temu. Margrabia de P*** pozostawił corkę i syna."

Już w wigilię tego dnia, miejscowy proboszcz odebrał telegram donoszący mu o tym strasznym wypadku, aby przygotował margrabinę do tego nowego i ciężkiego nieszczęścia. W Paryżu, pani Bouchard, zarządzająca domem margrabiego, była zmuszona uwiadomić Gwidona i Renatę, że zostali sierotami.

Gdy posłaniec przynoszący z Wersalu tę smutną wiadomość, przybył do pałacu przy ulicy Świętego Dominika, dzieci, których nauczycielka wyszła właśnie z domu, bawiły się same w pałacowym ogrodzie.

Był to piękny i spokojny wieczór majowy: mnóstwo kwiatków wyglądających jak srebrne i złote gwiazdeczki, zdobiło trawniki; mnóstwo wonnych kwiatów pokrywało wielkie lipy, a na ich gałęziach uwijało się mnóstwo skrzydlatych śpiewaków. Ku zachodowi różowe odblaski rozweselały niebo, a przed białym perystylem, pod kopułą uplecioną z zielonych gałęzi, tak było cicho i spokojnie, jakby ten miły zakątek był gdzieś zdala od Paryża. Może byłoby tam zbyt cicho i spokojnie dla dzieci przyzwyczajonych do więcej urozmaiconych rozrywek, do wesołych zabaw z rówiennikami, a nadewszystko do pieszczot i towarzystwa matki, ale dzieci margrabiego były najczęściej same, i nie smuciło ich to zbytecznie, gdyż zgadzały się z sobą zawsze, kochały się bardzo i dotąd wystarczały sobie zupełnie. Zresztą wesoły, żwawy, odważny, nawet swywolny Gwido, potrafiłby ożywić i rozweselić najustronniejsze, najsamotniejsze miejsce. Był to śliczny dziewięcioletni chłopczyk, z cerą matowobiałą, z czarnemi, wijącemi się lekko włosami, z czarniejszemi jeszcze, pełnemi ognia oczyma, silnie zbudowany, a pomimo to wysmukły i zręczny. Widać, że i teraz wychodząc do ogrodu, wymyślił sobie jakiś strój fantastyczny. Przyczepił do swych aksamitnych bucików srebrne ostrogi, włożył za pas sztylet z pięknie rzeźbioną rękojeścią, przepasał się przez piersi niebieską wstążką i przyczepił do niej złoty krzyżyk, a do kapelusika przypiął pawie pióro; prócz tego trzymał w ręku lancę, czyli część sztachety zakończonej strzałą. Tak ustrojony, przybiegł dumny i uśmiechnięty do siostry, ślicznej i miluchnej Renaty, która stała na trawniku wsparta o pień modrzewia.

— Słuchaj, Renato, zawołał wesoło, wymyśliłem doskonałą zabawę. Czy przypominasz sobie tę bretońską legendę, którą nam opowiadała Iwona, stara służąca babuni, o tym mężnym rycerzu co to zabijał Saracenów, zwyciężał smoki, zwalczał olbrzymów i miał w swym pałacu siostrę mleczną, która została zakonnicą, a ile razy był rannym, uzdrawiała go, modląc się i śpiewając nabożne pieśni? Otóż ja będę tym rycerzem, a ty w tym białym welonie wyglądasz zupełnie jak zakonnica. Gdybyś wiedziała Renato jak ci w tem ślicznie!

Roztrzepany Gwido zamilkł na chwilę, i przyglądał się siostrze z wyrazem zachwycenia i radości.

Rzeczywiście, Renata wyglądała w tej chwili jakby jakieś nieziemskie zjawisko. Promień zachodzącego słońca przedzierający się przez gałęzie, napełniał powietrze jakimś różowanym blaskiem, na którego tle odbijała się wyraźniej biała sukienka, drobna i zręczna postać dziewczynki, oraz jej śliczna, i pełna słodyczy twarzyczka. Wielkie czarne oczy Renaty były zwrócone ku zachodzącemu słońcu, uśmiech promienny, pełen zachwytu rozchylał jej drobne usteczka, była podobną do anioła wstępującego po raz pierwszy do raju, upojonego i olśnionego tem co tam widzi. Nie widać tylko było ślicznych kruczych włosów Renaty, bo Gwido przysłonił je białym gazonym woalem, zakrywającym także śnieżne czoło dziewczynki.

Wzrok milczącej i zamyślonej Renaty błądził daleko za murami i dachami Paryża. W tem zamyśleniu, w które wpadają często, jakby przeczuciem wiedzione, dzieci które z woli nieba mają kochać, walczyć i cierpieć w przyszłości, patrzyła na piękne obłoki mieniące się purpurą i złotem, na niezmierzony obszar błękitu, na którym ukazywały się już pierwsze gwiazdy. Może zadawała sobie pytanie: jaką to musi być ta boska kraina światła, to nieznane królestwo chmur i blasków, które oczom ludzkim odsłania tylko tak małą, a już tak olśniewającą cząsteczkę swej wiekuistej wspaniałości. Wesołe szczebiotanie Gwidona rozbudziło ją z zamyślenia, i odpowiedziała pełnym słodyczy głosem:

— Jak najchętniej braciszku... Widzę, że uzbroiłeś się już jak przystoi na rycerza. Jeźli się wybierzesz na jakąś wyprawę, dam ci mój różaniec, aby cię chronił od złego... i będę ci śpiewać jakie tylko zechcesz nabożne pieśni, skoro wrócisz słaby lub zmęczony.

— O! umiesz ich tyle i tak pięknych, odpowiedział Gwido z głębokiem przekonaniem.

— Ale nie chciałabym, aby cię było trzeba uzdrawiać często... Staraj się żebyś nie został ranionym zaraz w pierwszej bitwie.

— E! nie lękaj się.... Jednak, gdyby rycerz nie został nigdy ranionym, nie przynosiłoby mu to zaszczytu.... Obiecuję ci jednak tak się urządzać, abym ponosił tylko nic nieznaczące rany.

— Tem lepiej, rzekła z uśmiechem Renata. Teraz powiedz mi od czego rozpoczniesz twoje wojenne wyprawy?

— Przypuszczę szturm do budy Blaka, strzegącego bramy. Blak będzie niedźwiedziem lub też smokiem o siedmiu głowach.

— O! nie rób tego braciszku, zawołała Renata przestraszona. Blak takby szczekał i ujadał, że wszyscy sąsiedzi gniewaliby się o to.

Gwido tupnął niecierpliwie nóżką, i zmarszczył brwi czarne zarysowane śmiało.

— Jakaż to nieznośna rzecz mieszkać w Paryżu! zawołał. Nie można się nigdy bawić tak jakby się chciało. To się nie podoba sąsiadom, to znów przechodniom, to to, to owo! O! jakże wolałbym biegać jak chłopskie dzieci w Plouernel! Czy nie prawda, Renato?

— Ja także wolałabym być w Plouernel, przy naszej kochanej babuni, odpowiedziała z westchnieniem, ale ojcu byłoby przykro gdyby tu bez nas pozostał.

— O! tak rzadko jest razem z nami, odpowiedział Gwido, wstrząsając głową. Jeździ do Bulońskiego lasku, do jakiegoś tam klubu, na wyścigi i nie wiem doprawdy czemu nie bierze nas z sobą... Ale powiedzże mi jak się teraz będziemy bawić.... A! wiem! Babtysta przyniósł mi właśnie dziś rano petardy, będę je puszczał na tarasie, co będzie wyglądało jakbym sam jeden oblegał pałac.

— Ale Gwidonie, byłaby to bardzo niebezpieczna zabawa. Mógłbyś się ranić, braciszku, i to tak jeszcze, że ani moje modlitwy, ani moje łzy nie potrafiłyby cię uzdrowić.

— Rycerz nie powinien się obawiać niczego, odpowiedział dumnie chłopiec.

— Ale dobry brat, Gwidonie, obawia się zawsze sprawić przykrość kochającej go siostrze, która bardzo lękałaby się o niego.

— No! nie będę ci się sprzeciwiał. Skoro się tak boisz, to ci dam do schowania moje petardy, abyś już była zupełnie spokojna... Ale wiesz co zrobię? Widzisz tam na tej wysokiej podstawie tę brzydką urnę, która ośmiela się być większą od nas obojga? zamiast uszów wyrobione są dwie straszne głowy otoczone włosami pokręconemi jak węże... A jaka to szkaradna roślina w niej rośnie, nie ma ani jednego listka, tylko same łodygi pokręcone, sztywne, kolczaste! Otóż urna ta będzie olbrzymem, i to olbrzymem z dwoma głowami; pójdę z nim walczyć i jeżeli go nie powalę na ziemię, jeżeli nie porąbię na kawałki....

— Mój drogi braciszku, ta urna nie jest naszą własnością; wszak wiesz, że ojciec wynajął tylko ten pałac, zawołała Renata przestraszona jego zamiarem.

— Jakaż to nieznośna rzecz nie być właścicielem wszystkiego co nas otacza! zawołał Gwidon tupiąc nóżką. Czemu też ojciec nie zostawił nas w naszych dobrach w Bretanii, gdzie można biegać i bawić się swobodnie, przeskakiwać przez płoty i rowy, i gdzie wszyscy mówiąc do nas zdejmują czapki?... Bądź co bądź, wydam wojnę urnie, to jest olbrzymowi, ale nie bój się, nie obalę go, muszę się tylko dostać na sam wierzchołek, i urwę jedną łodygę tej brzydkiej rośliny, na znak, że otrzymałem zwycięztwo... Tylko najprzód trzeba uderzyć parę razy lancą w piedestał, będzie to znaczyło że uderzyłem w samo serce olbrzyma.

Mówiąc to, odbiegł, a Renata nie powstrzymywała go już dłużej. Pomimo że sama była jeszcze dzieckiem, rozumiała to dobrze iż trudno wymagać, aby chłopczyk tak żywy siedział przy niej spokojnie, a zresztą nie sądziła, aby parę uderzeń tem co nazywał swą lancą, mogło uszkodzić podstawę urny.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 24.

(Dokończenie.)

Arabeski ściegiem sznureczkowym wyszyte kolorowym jedwabiem i sznureczkiem złotym; końce sznureczka przeciągają się na lewą stronę i zamocowują. Skończoną serwetkę podszywa się materyą, a brzegi frendzlą w kolorach haftu i tła.

Opis do N-ru 25.

N. 1. Ubranie spacerowe.

Na spódnicy fałdowanej dana z przodu draperya fartuszkowa, u dołu zaokrąglona, z boków przyfałdowana, długi bryt tylny przyszywa się szwem odwracanym na spódnicy, w ten sposób iż brzegi poprzeczne schodzą się i fałdują w górze, a bryt układa się w pukiel na spódnicy. Model sukni odrobiony był z beżu jasno-popielatego, stanik paletocikowy zdobiła szeroka szarfa, w górnych brzegach drobno zmarszczona i na szwach bocznych przyszyta, na szwie środkowym pleców upięta w dwa duże pukle z końcami. Szarfa zarówno jak parasolik była z atłasu niebieskawo-stalowego koloru, z podszyciem beżowem. Kapelusz „incroyable" z włoskiej słomy, ubrany wstążką paljową i kwiatami.

N. 2. Suknia z tuniką i pleckami przemarszczanemi „coulissé". Zobaczyć plecy na ryc. 47, model tuniki na ryc. 48.

Obok ciągle panującego plisowania, stawia obecna moda tak zwane „coulissé" tem różniące się od zwykłego przemarszczania, że materyał złożony podwójnie przemarszcza się z lewej strony. Ryc. 2 i 47 przedstawia suknię odrobioną z beżu i kaszmiru bronzowego, ubraną brylantyną bronzową, przerabianą nitkami metalowemi. Nieprzykryta tuniką część spódnicy, zagarnirowana jest naprzemian plisami z brylantyny 12 cent. szerokiemi i drobno układanem naddanem plisowaniem. Na ryc. 48 dajemy model i miary tuniki, złożonej z czterech prostych brytów, zeszytych ze sobą, z których przedni bryt *a* i część bocznego bryta *b*, od kropkowanej linijki w górę, jest podwójnie przemarszczana i ściągnięta do 33 cent. szerokości. Z boków na biodrach daje się w tunice mniejsze lub większe zaszewki, bryty tylne się fałduje i wszywa razem ze spódnicą w pasek. Niezeszyty brzeg przedniego bryta, od miejsca oznaczonego krzyżykami i kropkami, sfałdować do dołu do 9 cent. długości, oszyć listewką i 6 cent. niżej jak przemarszczenie przyszyć listewkę poprzecznie na spódnicy. Boczny bryt *b* i luźny brzeg tylnego bryta *c* trzeba do 84 cent. przyfałdować, jak to krzyżyki i kropki oznaczają; oprócz tego przy środkowem zeszyciu brytów tylnych, w miejscu gwiazdką wskazanem, zaszyć w parę fałdek i ułożyć podług ryc. 48; z przodu zręcznie ułożoną draperyę gdzieniegdzie nieznacznie do spódnicy przyczepić. Przód i boki stanika mają baskinę odcinaną, plecy w jednym ciągu przykrojone, są na 25 cent. długości przemarszczane. Z pod szalowego, 6 cent. szerokiego kołnierza, widać beżową przemarszczaną szmizetkę. Rękawy zakończone są beżowem, 9 cent. szerokiem przemarszczaniem, na które zachodzi na 3 cent. sztylpa z brylantyny, przy wewnętrznym szwie rękawa 8, przy zwierzchnim 10 cent. szeroka. Pasek 5 cent. szeroki w 3 fałdy złożony, z przodu lub z boku zapinany pod kokardą, robi się z atłasu. Pukle i końce mają 13 cent. szerokości, 16, 20 i 25 długości. Bronzowy, słomkowy kapelusz, ubrany taką jak suknia brylantyną i piórami.

N. 3—17. Obrus i serwety ozdobione haftem włoskim, ściegiem podwójnym i frendzlą macramé.

Taki obrus i 24 serwet ofiarowały damy szlezwig-holsztyńskie jako prezent ślubny księciu Wilhelmowi pruskiemu i jego małżonce w r. 1880. Nakrycie to ogólnie dla swej piękności podziwiane, odznaczało się rozmaitością deseni i doskonałą robotą, wykonaną na jędrnem płótnie z wyraźnie odznaczającemi się nitkami, jedwabiem purpurowym nie puszczającym w praniu, ściegiem włoskim, to jest krzyżykami obwodzonemi ściegiem pojedyńczym. Dokładny wyczerpujący opis takiego ściegu podaliśmy w roku przeszłym, a próbkę wyraźną na ryc. 44 w N. 21 z roku bieżącego. Mimo różności deseni w których herby, godła, róże, mirt, liście winne, chmiel, leszczyna i kłosy były pomieszczone, potrafiono zachować zupełną harmonję. Niektóre desenie miały tło całe zarobione, a deseń występował biały z pojedyńczemi żyłkami ponsowemi, w innych jak np. herbach i godłach deseń był zarobiony ponsowo, a tło zostawione białe. Rycina 8 przedstawia bardzo zmniejszony obrus, któren składał się z siedmiu oddzielnych części; ponieważ nigdy szerokość płótna nie odpowiada szerokości obrusa, użyć więc musiano 7-miu oddzielnych brytów, a mimo to potrafiono uniknąć widocznych zeszyć. Co więcej, urządzono obrus w ten sposób, iż wielkość może być rozmaicie zmniejszana. W tym celu brzegi brytów są obrąbione drabinką ze słupków szydełkowych, za którą sznurują się bryty ze sobą. Na dwóch końcowych brytach, szlaki szerokie stanowiące poprzeczne brzegi obrusa są jednakowe; przy 5-ciu brytach środkowych szlaki szerokie brzeżne są na każdym odmienne, a tarcze kwadratowe zawierają naprzemian herby, godła, imiona i t p.. Z obydwóch stron tego szlaku dane są szlaczki wązkie, w których na modelu umieszczone były stosowne zdania. Do obrusa dodane było 24 serwet zakończonych wystrzępioną z płótna frendzlą; szlaki na serwetach są odmienne a na tarczach narożnych umieszcza się herby, godła lub monogramy. Opisać wszelkie szczegóły tej pięknej i nader pracowitej roboty niepodobna, ani dla braku miejsca podać wszystkich deseni, jednak podług tych jakie załączamy poznać można układ innych. Na ryc. 9 dajemy w naturalnej wielkości próbkę ściegu, a na ryc. 3—5 próbkę frendzli macramé. Haft musi być koniecznie robiony w krosnach.

N. 18. Rękawiczki duńskie długie.

Przy letnich sukniach rękawy są zwykle krótsze i szersze, do takich na spacery używa się rękawiczek długich, które obecnie najmodniejsze są z duńskiej skórki, rozcięte tylko przy zgięciu ręki i zapięte na trzy guziki, a w górze ku łokciowi nierozcinane jak to widać na ryc. 18.

N. 19. Mitenki robione na drutach, próbki na rycinie 20—21.

Mitenki robić można z jedwabiu czarnego lub kolorowego, albo z nici szpulkowych N. 50, na odpowiedniej cienkości drutach, zaczynając od górnego brzega na oczek 90, a następnie robiąc w koło bez gubienia lub przybierania sposobem na próbce ryc. 21 wskazanym, lub w inny ażurowy deseń. Po odrobieniu dowolnie długiej górnej części, która na modelu miała 19 cent. długości, robi się odmiennym deseniem mitenkę, podług próbki ryc. 20. Zacząć 4-ma rzędami gładkiemi, dalej 4 kręte, 1 rząd dziurek obrobiony gładko, 4 rzędy kręte, 2 gładkie, dalej deseń, na który w pierwszem obrobieniu 11 oczek gładko, 2 oczka kręto, 2 oczka gładko, 2 oczka kręto powtórzyć pięć razy, a przy końcowych pozostałych pięciu oczkach przybrać oczko 1-ne na zaczęcie klinika, na któren następnie stopniowo przybiera się jeszcze ocz. 11, zachowując o ile można porządek deseniu. W 2-gim rzędzie * 3 gładko, 1 zgubić gładko, 1 przybrać, 1 gładko, 1 przybrać, 1 zgubić, 3 gładko, 2 kręto, 1 przybrać, 1 zgubić przewłócząc przez następne 2 kręto; powtarzać od gwiazdki. Rzęd 3. * 11 gładko, 2 kręto, 1 gładko, 1 zgubić przewłącząc, 2 kręto; powtarzać od gwiazdki. Rzęd 4. 2 gładko, 1 zgubić, przybrać, 3 gładko, 1 przybrać, 1 zgubić, 2 gładko, 2 kręto, 1 przybrać, 1 zgubić, 2 kręto. Rzęd 5. * 11 gładko, 2 kręto, 1 gładko, 1 zgubić przewłócząc, 2 kręto. Rzęd 6. * 1 gładko, 1 zgubić, 1 przybrać, 5 gładko, 1 przybrać, 1 zgubić, 1 gładko, 2 kręto, 1 przybrać, 1 zgubić przewłócząc, 2 kręto. Rzęd 7 jak piąty. Rzęd 8. 1 zgubić, 1 przybrać, 7 oczek gładko, 1 przybrać, 1 zgubić przewłócząc, 2 kręto. Rzęd 9 jak 5. Powtórzyć deseń 8 razy zaczynając od 2-go rzędu, poczem nabrać 24 oczek klinika na oddzielny drut i zostawić nie obrabiając; do pozostałych oczek rękawiczek dodać w końcu nowych oczek 6, z których zawsze 2 będą kręte, 2 gładkie, 2 kręte. Gdy się cały deseń jeszcze 5 razy powtórzy, zakończyć rękawiczkę takim tylko węższym szlaczkiem z oczek kręconych i gładkich jak się zaczęło i obrobić ząbkami szydełkowemi. Następnie robić wielki palec, dobrawszy nowo zaczętych oczek 10, powtórzyć cały deseń 5 razy, obrobić szlaczek jak przy rękawiczce i obrobić ząbkami.



N. 1 — 2. Ubrania letnie.

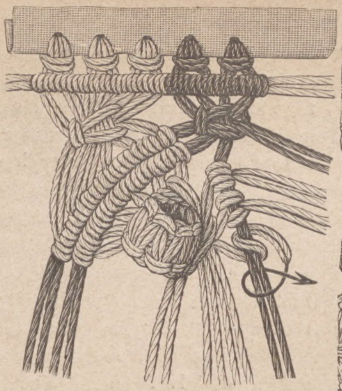
N. 1. Suknia z szarfą. N. 2. Suknia z przemarszczeniem (coulissé.) Patrz ryc. 47—48.

Nawlec w dziurki przy zgięciu ręki elastykę, a na wierzchu dodać kokardkę z wąskiej atłasowej wstążeczki.

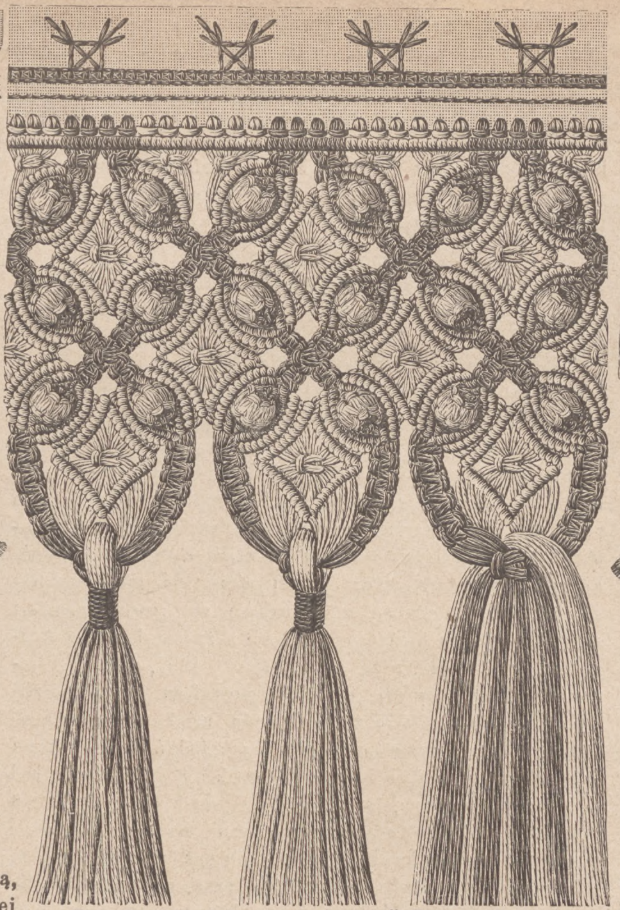
N. 24—27. Fartuszki włoskie.

N. 24—25. Fartuszek z haftem i szlakami robotą krzyżową.

Model odrobiony z płótna szafirowego, miał 52 cent. szerokości, a 100 długości, z której 31 cent. stanowiło zwierzchnie wyłożenie, ozdobione zarówno jak i dół fartuszka wyszyciem krzyżowem, robionem bawełną białą i niebieską; prócz tego brzegi oszyte były szlakiem haftowanym na białem płótnie bawełną niebieską, którego wzór naturalnej wielkości dajemy na ryc. 21. W górze dane z boków głębokie zaszewki i przeszycie do nawleczenia sznurów do wiązania, albo przyszyte guziki i pentle do zapinania.



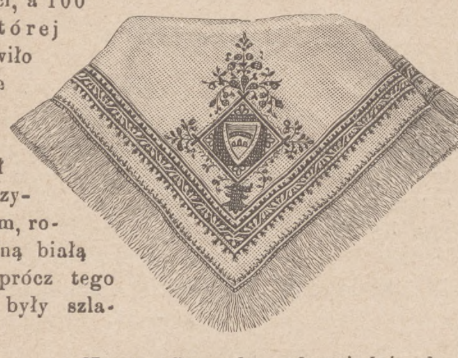
N. 3. Wiązanie frendzli ryc. 5. Węzły wiązane na kolorowej nitce.



N. 5. Frendzla robotą wiązaną (macramé). Patrz ryc. 3—4.



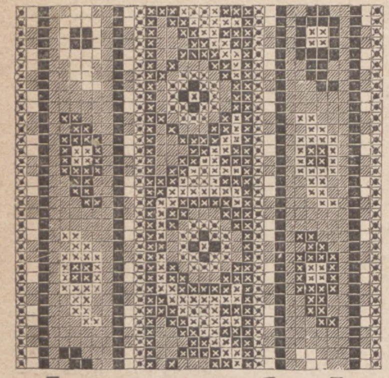
N. 4. Wiązanie skośnego kwadratu we frendzli ryc. 5.



N. 6. Serwetka odpowiednia do obrusa ryc. 8.

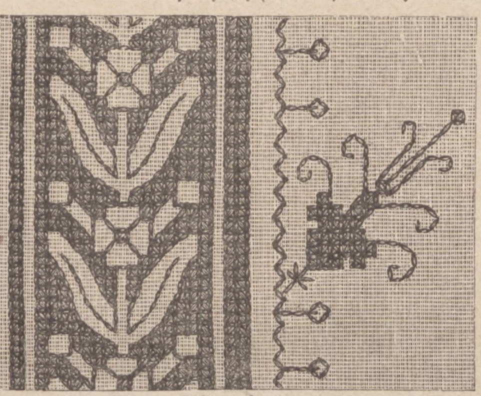


N. 7. Serwetka odpowiednia do obrusa ryc. 8.



Jedwab czarny, żółty, jasny i ciemno-mchowy. Włóczka ponsowa i bronzowa.

N. 10. Deseń do wyszycia na kanwie.



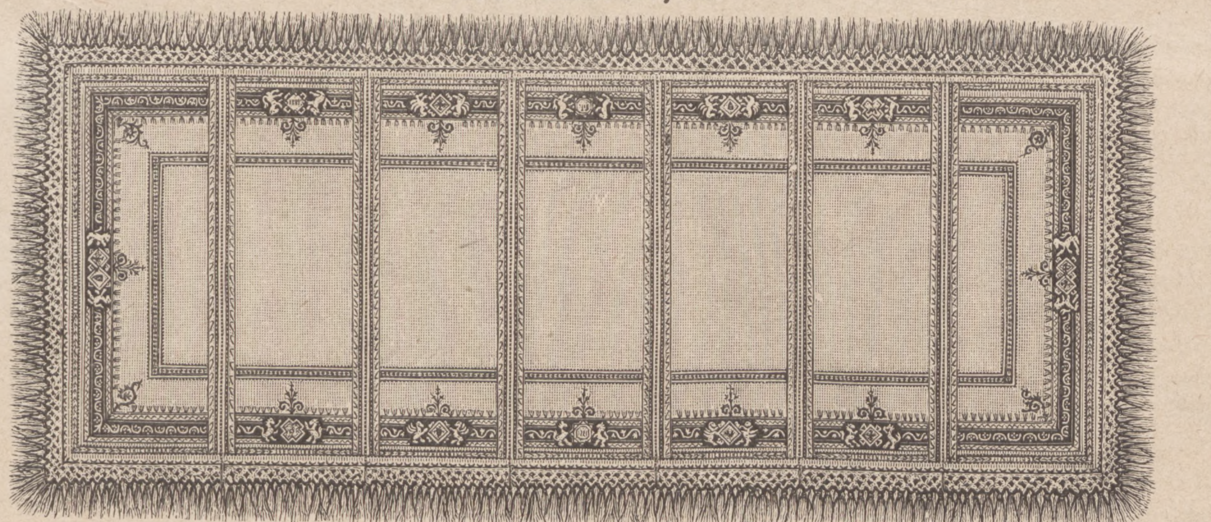
N. 9. Szlaczek do ryc. 8.



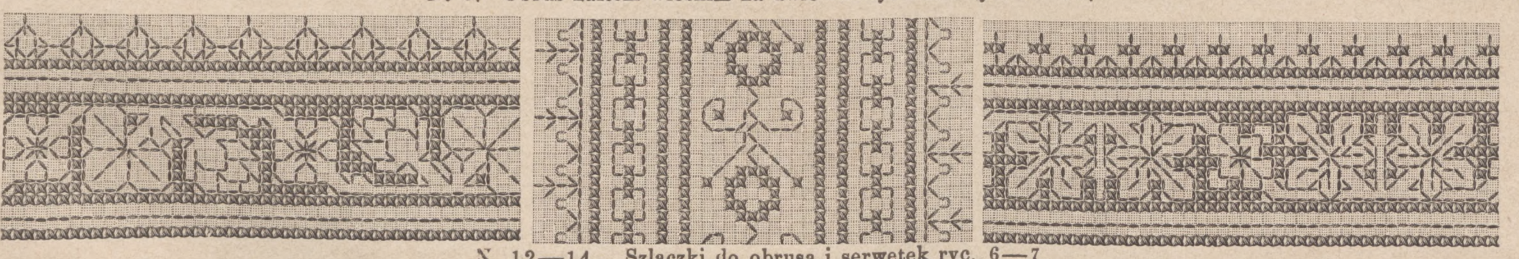
N. 11. kwadracik do ryc. 8.

N. 26—27. Fartuszek oszyty plisowaniem.

Fartuszek z cienkiego niebieskiego albo niewarowego płótna, zdobiły 4 rzędy gwiazdek dzierganych i wyciętych oddzielnie, następnie z lewej strony spajanych i podłożonych ponsowym szwajcarskim perkalem. Pod ostatni rząd podszyte jest 7 cent. szerokie plisowanie, którego fałdki przeszyte pojedyńczemi supełkami, haftowanemi ponsową bawełną. Takiemiż supełkami i ściegiem cierniowym wyszyta 3 cent. szeroka listewka przy podłużnych brzegach fartuszka, któren w górze wszyty jest w pasek repsowy, zapinany na haftki, pod kokardą ze wstążki szafirowej i ponsowej. Na ryc. 27 dajemy próbkę garnirunku w połowie naturalnej wielkości.



N. 8. Obrus haftem włoskim na dwie strony. Patrz ryc. 3—17.



N. 12—14. Szlaczki do obrusa i serwetek ryc. 6—7.

N. 29—30. Dwa rękawy do sukien.

Ryc. 29 przedstawia rękaw w ząb zakończony, pod który od spodu podszywa się niewiele wystający mankiet odpowiedniej formy, któren zarówno jak i rękaw z boku otwarty, trzema rzędami stębnówki ozdobiony i koronką ogarnirowany. Piękny metalowy guzik służy niby do zapięcia. Na ryc. 30 wierzch rękawa ozdobiony bufką i przemarszczaniem „coulissé", od spodu dane dwie bufki przedzielone i zakończone pliską albo wstążką.

N. 31. Spódniczka strojna spacerowa.

Zrobiona z trzech brytów twedu marynarskiego koloru, które mają niespełna 200 cent. dolnej szerokości. Długość dopełnia 19 cent. szerokie plisowanie z satynki niebieskiej, na które spada plisowanie z twedu mające wraz z koronką 7 cent. szeroką 22 c. szerokości. Przez koronkę ładnie przebija jasne dane od spodu plisowanie.

N. 32. Szlak do mebli. Haft gobelinowy.

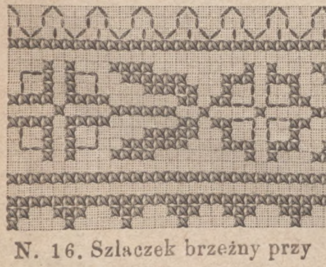
Czarny wełniany materyał meblowy przerabiany jasno-bronzowemi jedwabnemi nitkami, w deseń gobelinowy, na modelu wyszyty był kolorową filozelą, ściegiem gobelinowym. Prążki z brzegów pokryte były zupełnie w całej grubości użytą filozelą niebieskawo-zieloną, kwadraciki bronzowe tylko co drugi wyszyte były trzema nitkami filozeli naprzemian niebieskiej i różowej. Duże środkowe figury odrobione trzynitkową filozelą bordo, oliwkową, jasno-niebieską i niebieskawo-zieloną, trójkąty były bronzowe, inne części deseniu ozdobione wyszyciem niebieskiem i różowem.

N. 33—37. Ubranie z kapeluszem wiejskim ogrodowym.

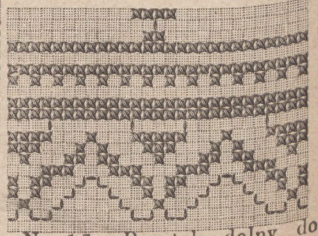
Na modelu suknia z granatowej satynki ozdobiona była szlakami jasnémi, kolorowo wyszytemi. Przody bluzki zaszyte w $43\frac{1}{2}$ cent. szerokie kontrafałdy, na które dodaje się z prostych brzegów materyału. Fałdy kończą się 10 cent. powyżej wcięcia w pasie, niżej zbywająca szerokość materyału jest drobno przemarszczana. Przód i boczne bryty krótkiej spó-



N. 15. Szlak szeroki do obrusa ryc. 8.

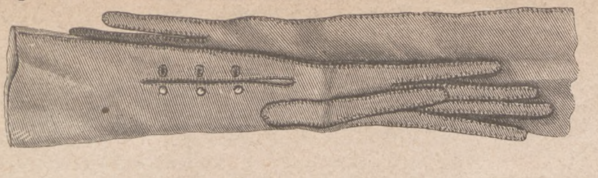


N. 16. Szlaczek brzeżny przy szlaku szerokim do ryc. 8.

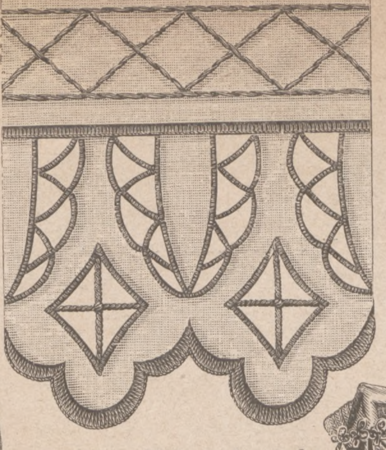


N. 17. Brzeżek dolny do ryc. 8.

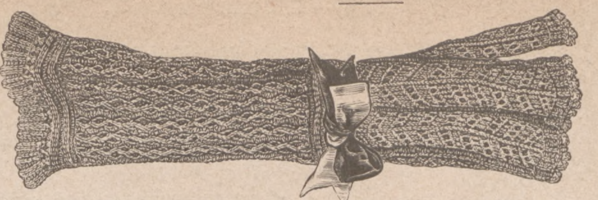
dnicy, oszyty dwoma szerokiemi plisowaniami, pokrywa fartuszkowy brycik prosty w kontrafałdy ułożony, razem ze spodnicą w pasek wszyty. Z tyłu upięta draperya z bryta prostego; kokardy i pasek z szafirowej atłasowej wstążki. Krawatka atłasowa koloru vieil-or, oszyta frywolitkami, które przez pewien czas zarzucone, dziś znów wracają do mody. Ryc. 36 predstawia całą gwiazdkę robioną z jedwabiu czarnego i nitki złotej lub jedwabiu takiegoż koloru; na ryz. 37 wskazany sposób roboty dwu-nitkowych frywolitek.



N. 18. Długie rękawiczki z duńskiej skóry.



N. 24. Haft do fartuszka ryc. 25.



N. 19. Mitenka robiona na drutach. Patrz próbki roboty ryc. 20—21.

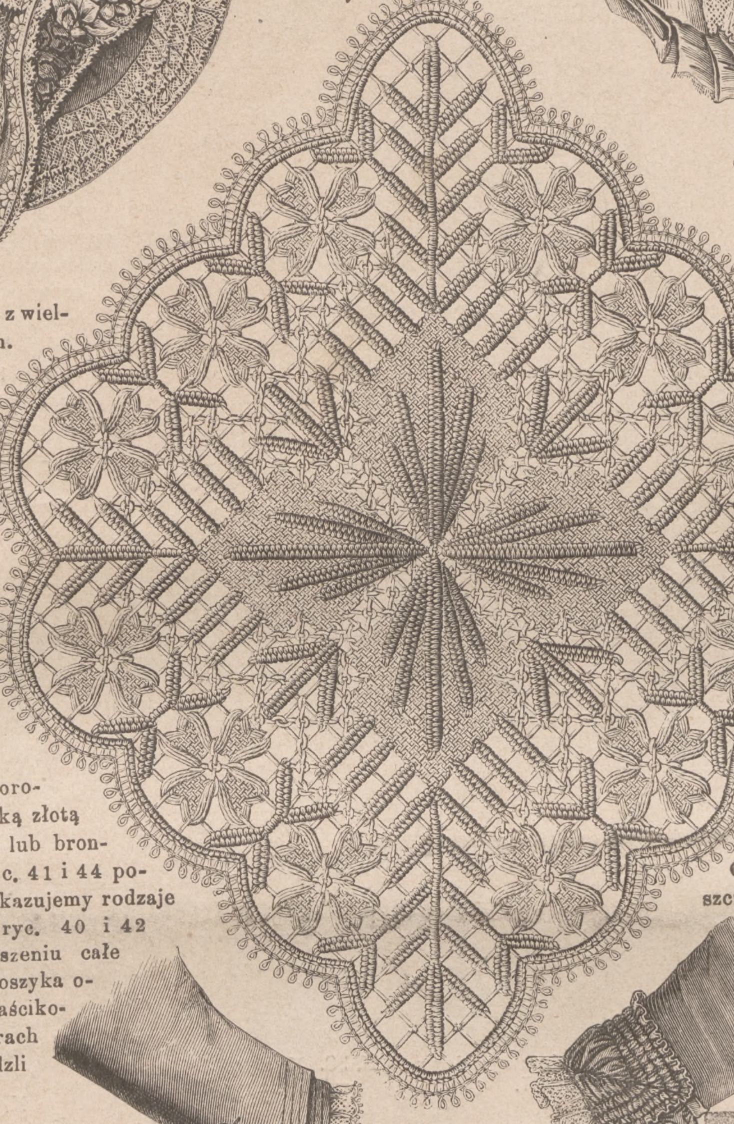
Kapelusz ogrodowy *Pamela* z szerokiem z tyłu w górę podwiniętem rondem, na foremce ze sztywnego tiulu lub muślinu, z wierzchu cały pokryty jest muślinowemi albo batystowemi falbankami, oszytemi wązką koronką. Ryc. 34 podaje szerokość falbanek i wskazuje sposób naszywania. Brzeg ronda objęty czarnym aksamitem oszyty jest 2 cent. szeroką fryzowaną słomkową torsadą. Kokarda z ponsowej atłasowej wstążki.



N. 22. Kapelusz z wielkiem rondem.



N. 23. Kapelusz z wysoką główką.



N. 37—44. Koszyk ogrodowy.

Upleciony z bronzowej słomy, mający 35 c. długości, 22 szerokości, 16 środkowej a 12 brzeżnej wysokości ozdobiony na wieku lambrekinami haftowanemi różno-kolorowym jedwabiem i nitką złotą na suknie piaskowego lub bronzowego koloru. Na ryc. 41 i 44 podajemy desenie i wskazujemy rodzaje użytych ściegów, a ryc. 40 i 42 przedstawia w zmniejszeniu całe lambrekiny. Boki koszyka ozdobione frendzlą kwaścikową z włóczki w kolorach haftu; próbkę frendzli dajemy na ry. 39.



N. 25. Fartuszek z wyszyciem krzyżykowem.

N. 45. Suknia formą princesse dla młodej panienki.

Suknia odrobiona być może z kaszmiru, chaly, crêpe de laine, albo z satynki, kretonu i t. p.. Odpowiednio do szerokiego garnirunku u dołu i długo przemarszczanych pleców, można dać plastron i przemarszczane fartuszkowe ubranie z przodu. Z tyłu dane upięcie z szerokiej szarfy jedwabnej lub z tego co suknia materyału.



N. 29. Rękaw ścięty w ząb.

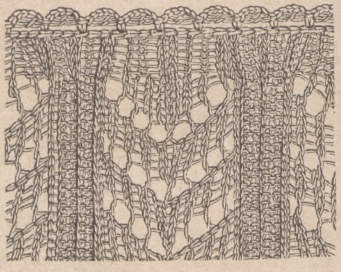
N. 28. Zakończenie do krawatki.



N. 30. Rękaw z przemarszczanym mankietem.

N. 46. Suknia z długim stanikiem dla młodej panienki.

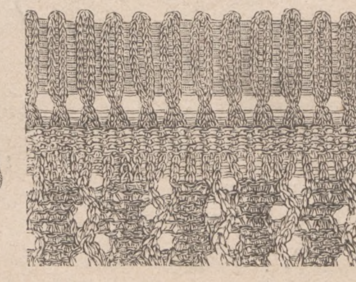
Garnirunek koronkowy, jaki zdobił model odrobiony z kolorowego muślinu, przy sukni z lekkich wełnianych materyałów nie jest konieczny. Spódnica w koło przemarszczana i w bufy układana, ozdobiona z przodu draperyą z boków podpiętą, z tyłu upięciem z bryta prostego, w górze przypiętego kokardą do baskiny stanika.



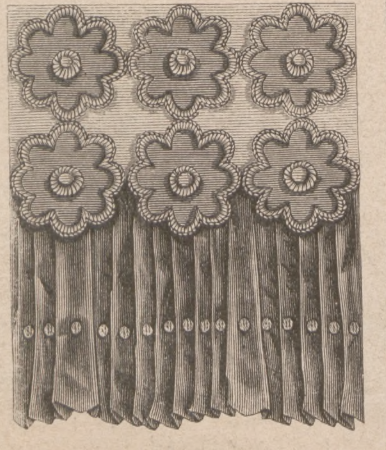
N. 20. Robota na drutach do ryc. 19.



N. 31. Spódnica strojna pod suknie spacerowe.



N. 21. Zakończenie brzeżne mitenki ryc. 19.



N. 27. Szlak i plisowanie do ryc. 26.



N. 32. Szlak naszywany na materyale deseniowym.

OPIS DO N. 26.

N. 1. Kapelusik zdobny szenlą.

Fasonik z kolorowej słomki ma rondko podszyte ciemno-ponsową materyą; sznela opasująca główkę skręcana ze złotym sznureczkiem jest tego koloru co podszycie.

N. 2. Kapelusik przybrany materyą.

Fason z czarnej angielskiej słomki, przybrany skosem atłasu niebieskawo-zielonego koloru i takąż wstążką 5 cent. szeroką. Brzeg oszyty dwa razy torsadką ze stalowych perełek; końce 3 cent. szerokie.

N. 3. Ubranie dla chłopca lat 5—7.

Może być odrobione z materyału wełnianego, letniego do prania lub z cienkiego jasnego koreiku. Krótkie majteczki przypinają się do stanika spodniego; spencerek formą luźnego kaftanika zapięty z przodu na guziki opasany jest sznurem przewleczonym przez przecięcia w materyale, dane podług ryc. 3.



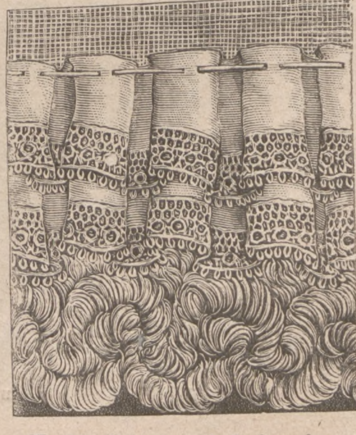
N. 26. Fartuszek ze szlakiem i plisowaniem. Patrz ryc. 27.

N. 4. Sukienka przemarszczana dla panienki lat 6 — 8.

Odpowiednio do przodów przemarszczane są i plecy zapinane na guziki i dopełnione karczkiem gładkim 13 cent. szerokim. Poniżej wcięcia stanu dane powtórne przemarszczanie na 10 cent. szerokości; u dołu sukienki dwie falbany plisowane 19 cent. szerokie. Na szarfę przemarszczaną z boków przepiętą z przodu agrafką potrzeba prostego kawałka materyału 20 cent. szerokiego.

N. 5. Suknia z tuniką. Patrz ryc. 49 w N-rze 25.

Odrobiona z letniego bawełnianego materyału koloru śliwkowego, ozdobiona wypustką vieil or; falbany plisowane są po 15 cent. szerokie, przemarszczane bufki zajmują po 11 cent. Na tunikę którą dokładnie przedstawiają ryciny, wzięty jest bryt prosty, obrócony poprzecznie 82 cent. długi, 112 szeroki; z boków złożony w głębokie fałdy. Tylny prosty bryt podpięty w bufę liczy 100 cent. długości, i przyszyty jest na spódnicy w odstępie 13 cent. od paska. Stanik z tyłu przedłużony w baskinę frakową z fałdami, ma przody przyciśnięte paskiem idącym od boczków; plastron przemarszczany i kołnierz szalowy dochodzi do paska. Guziki vieil-or odpowiednio do wypustek.



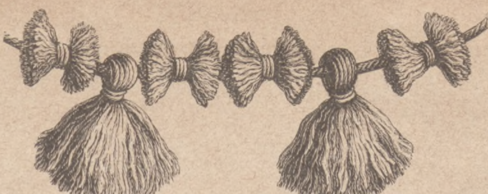
N. 33. Garnirunek do kapelusza ogrodowego ryc. 34.



N. 45. Suknia princesse dla młodej osoby.

N. 6—7. Suknia z szarfą.

Odpowiednia dla młodej osoby, ma stanik z materyi surah blado-niebieskiej, a spódnicę całą przysłoniętą garnirunkiem



N. 39. Kwaściki do ryc. 38.



N. 40 Lambrekina do koszyczka ryc. 38. Patrz ryc. 41.



N. 34—35. Suknia i kapelusz ogrodowy. Patrz ryc. 33 i 36—37. N. 38. Koszyczek ogrodowy. Patrz ryc. 39—42.



N. 42. Lambrekina do koszyczka ryc. 38. Patrz ryc. 43.



N. 46. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

z satynki bawełnianej tegoż koloru. Garnirunek stanowią naprzemian 6 c. szerokie falbany plisowane z materyału i koronkowe. Tunika naśladowana jest przewiązaniem szarfy 50 cent. szerokiej, z materyi w kolorowe pasy przerabiane złotem na tle niebieskiem; brzegi dolne przepasania i końce oszyte koronką. Stanik z karczkiem upiętem podług ryc. 7 ogarnirowany dwa razy koronką; pod szyją kokarda odpowiednia szarfie.

N. 8. Ubranie spacerowe.

Granatowe płótno użyte jest na drobno plisowaną falbaneczkę do dołu sukni, na przód tuniki przemarszczonej środkiem na 6 cent. szerokości i na chusteczkę. Spódnica z szeroką w kontrafałdy złożoną falbaną, tylny bryt tuniki i długi stanik są z materyału w kratkę granatową z białem. Do przybrania służy koronka 5 cent. szeroka i takaż niebieska atłasowa wstążka. Do wyjścia na ulicę przygotowany kapelusz granatowy słomkowy zdobny materyałem w kratę i koronką taką jak przy sukni, parasolik z tego samego materyału na granatowej podszewce.



N. 47. Plecy do ryc. 2.



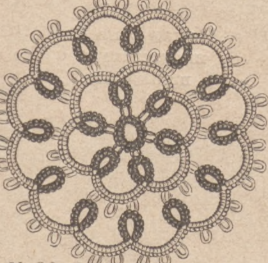
N. 49. Plecy do ryc. 5. w N. 26.

N. 9—11. Krawatki z indyjskiego muślinu.

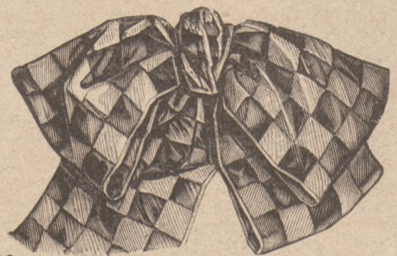
Do ubrań spacerowych oprócz kolorowych jedwabnych krawatek niezmiernie noszone są białe, których wzory dziś załączamy. Rycina 9—11 przedstawia trzy krawatki z indyjskiego muślinu, po 16 do 20 cent. szerokie a 132 długie; zakończenie stanowi haft point d'armes, kratka ażurowa, lub deseń grecki dany nad obrębem oddzielonym kratką ażurową.

N. 12. Kapotka z końcami z cieniowanego tiulu.

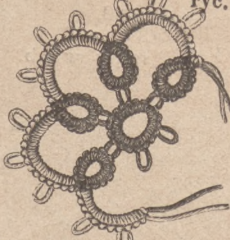
Szalik „bajadera" z tiulu żółtego do cieniu, 250 cent. długi a 37 szeroki, z przodu przewiązany w węzeł, stanowi wraz z atłasem vieil-or i oliwkowym dyademowe przybranie kapelusza. Rondko kapotki naszyte koronką słomkową i przysłonięte girlandką z kwiatów. *(D. n.)*



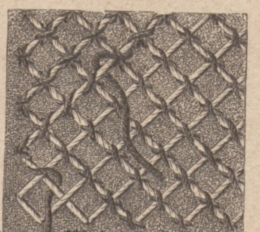
N. 36. Gwiazdka frywolitowa do krawatki ryc. 34.



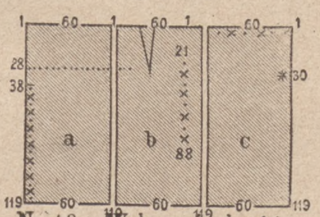
N. 50. Kokarda do kołnierzyka.



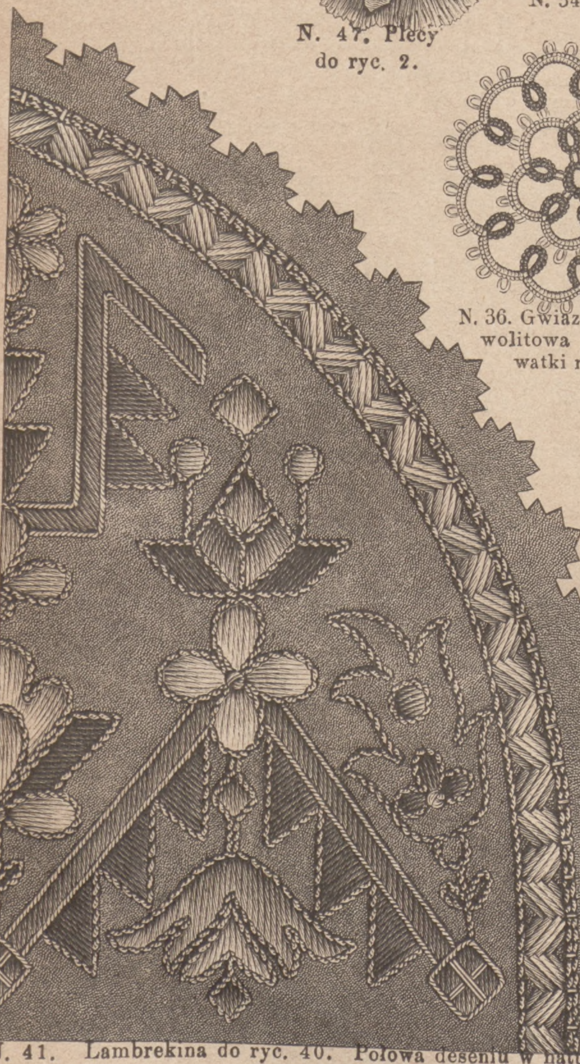
N. 37. Wykonanie gwiazdki ryc. 36.



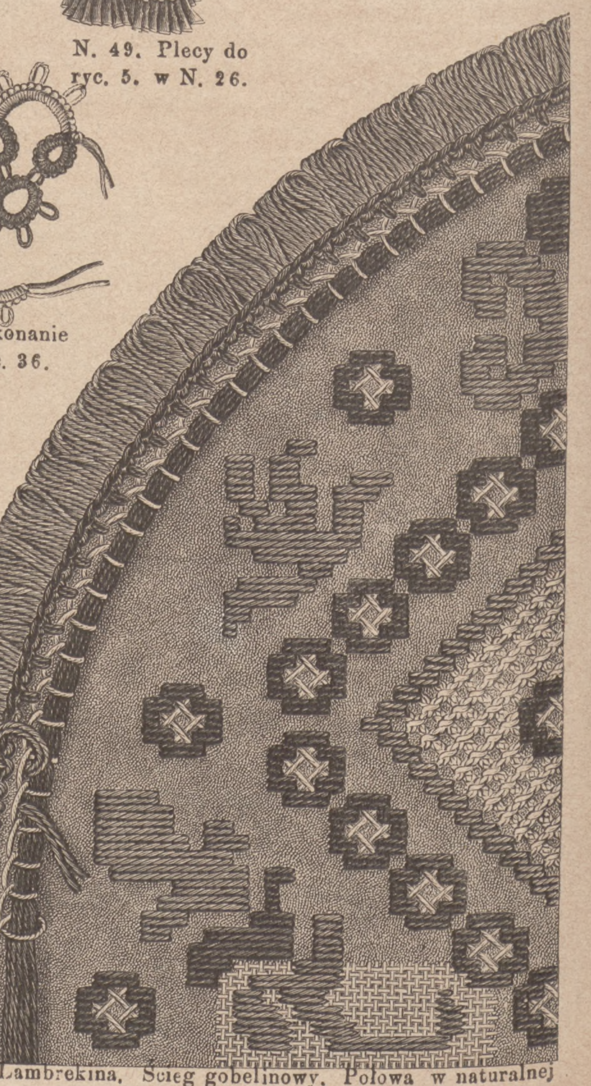
N. 44. Wykonanie kratki do ryc. 44.



N. 48. Wskazanie kroju tuniki do sukni r. 2 i 47.



N. 41. Lambrekina do ryc. 40. Połowa deseniu w naturalnej wielkości.



N. 43. Lambrekina. Ścieg gobelinowy. Połowa w naturalnej wielkości.